

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 25 PAŹDZIERNIKA 1950 ROKU

NR. 45

TREŚĆ NUMERU: Kobiety w akcji wyborczej — *Natalja Jastrzębska*. Równouprawnienie i białe niewolnictwo — *Jadwiga Krawczyńska*. Poezja: „Spowiedź” — *Wiktoria Rymwid-Mickiewiczowa*. Koty ciotki Boulot — *J. Putiatycz-Surynowa*. Stary a nowy Wiedeń — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Kobieta, polityka i prasa — *Zofja Dzieciotowska-Brykalska*. Z teatrów — *Herminja Naglerowa*. Kobieta w świecie i w domu. Sztuka rozmawiana — *Jadwiga Kierwnarska*. Hodowla zwierząt futerkowych — *Marzenna Saryusz-Stokorska*. Ostatnie roboty jesienne w ogrodzie warzywnym — *Zofja Wróblewska*. Przechowywanie ziemniaków — *A. D. Kuchnia włoska* — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Kostjumy południowe — *Well*. Dodatek powieściowy: „Margot między górami” — *Wł. Wasilewska*. Arkusz wzorów.

KOBIETY W AKCJI WYBORCZEJ

Od początku dążeń kobiecych do równouprawnienia utarła się opinia, że, biorąc udział we wszystkich przejawach życia społecznego, kobiety powinny unikać polityki. Co było przyczyną tej teorii, gorliwie zresztą i długo przez sam obóz kobiecy podtrzymywanej? Zapewne, przyczyn, jak zwykle w zbiorowych objawach ruchów społecznych, było wiele. Pierwsze emancypantki walczyły tylko o dostęp do wiedzy, potem zaczęły działać czynniki ekonomiczne, zmuszające kobiety do walki o byt, do zarobku na utrzymanie swoje, a nieraz i rodziny; walczono więc o dostęp do pracy, a gdy już zdobycze wiedzy i pracy przyniosły względne lub pełne równouprawnienie, wtedy wolne obywatelki znalazły obszerne pole zainteresowań społecznych, obchodzących je więcej, niż inne, bo najbliższych: sprawy ochrony dziecka i matki, ochrony pracy kobiet i młodocianych, zwalczanie prostytucji i handlu żywym towarem, alkoholizmu i wiele innych krzywd społecznych; wreszcie troski o podniesienie stanu zdrowotnego mas, oświaty i kultury. Wszystko to zdawało się racjonalniejsze i pilniejsze o wiele, niż zawile ścieżki dyplomacji i subtelne nieraz różnice taktyczne stronnictw w grze parlamentarnej.

Czas jednak płynie (po wojnie prędzej, niż kiedykolwiek) i przynosi ze sobą... doświadczenie. Doświadczenie to powiedziało kobietom, że, o ile nie korzystają z czynnego i biernego prawa wyborczego, a więc z *praw politycznych*, o tyle nie będą mogły przeprowadzić swych postulatów *społecznych*. Najlepszym tego dowodem, jest statystyka parlamentu

angielskiego, wykazująca, że gdy w ciągu wieku XIX i 14 lat przed wojną uchwalono *cztery* prawa, dotyczące ochrony społecznej kobiet, to w ciągu ostatnich lat dziesięciu, gdy kobiety weszły do parlamentu, wydano tych ustaw *trzydzieści cztery*.

Dalsze doświadczenia przyniosły prace Ligi Narodów, w których kobiety biorą znikomy udział; konferencja rozbrojeniowa morska, w której udziału nie wzięły wcale; konferencja haska, w której ich również oficjalnie nie było, a która rozstrzygnęła o narodowości mężatek w duchu dla kobiet niekorzystnym, i wiele innych zdarzeń w polityce międzynarodowej.

W polityce tej nie mają kobiety głosu, nie zajęły bowiem dość licznie stanowisk kierowniczych we własnych krajach, za mało jeszcze jest ich w parlamentach i rządach.

Pierwsze zrozumiały to stowarzyszenia kobiece międzynarodowe, jak Liga Praw Wyborczych i Pracy Obywatelskiej, Międzynarodowa Rada Kobiet, oraz wielkie federacje kobiece amerykańskie. Wszystkie one starają się utrzymać kontakt z Ligą Narodów i konferencjami politycznymi i kodyfikacyjnymi, aby, choć pośrednio, wpływać na ich obrady. Decydujących jednak posunięć zapewnić sobie nie mogą, nie mając na tych naradach swoich oficjalnych przedstawicieli, kobiet.

To na terenie polityki międzynarodowej, od której zależy tak wiele: przedewszystkiem sprawa pokoju, a następnie cały ogromny kompleks spraw, kobiety obchodzących.

A w sprawach wewnętrznych każdego państwa?

Prawie to samo: najżywotniejsze interesy kobiet, specjalne i ogólne, w których kobiety powinny brać udział, rozstrzygane są przez mężczyzn.

Dlaczego? Dlatego, że kobiety nie lubią zajmować się polityką.

A tymczasem, w dzisiejszym układzie stosunków społecznych, każda ważniejsza sprawa społeczna wymaga posilkowania się akcją polityczną, bo każda może być rozstrzygnięta jedynie drogą ustawy parlamentarnej.

Prócz wszystkich wyżej wymienionych przyczyn, jeszcze jedna, zasadnicza, zmusza kobiety do zaznajomienia się z polityką: sam fakt posiadania praw wyborczych.

O te prawa wyborcze kobiety dopominały się latami, a dziś, gdy je mają, nie wolno im zapominać, że głosowanie — to nie tylko prawo, ale i obowiązek obywatelski.

Jakże zaś można spełnić ten obowiązek, nie mając pojęcia o elementarnych sprawach, z nim związanych?

Chcąc oddać swój głos do urny wyborczej, trzeba przecież wiedzieć, na jaką listę głosujemy i dlaczego na tę, a nie na inną?

Wobec tego samego absolutne désintéressement polityczne jest dla kobiety niemożliwością.

Nie jest ono też tak powszechne, jak się ogólnie twierdzi. Apolityczność kobiet obecnie już zaczyna wychodzić z użycia. Mówi się o niej często jeszcze, niekiedy poprostu dlatego, że nie chce się być posądzoną o jakąś wyraźną przynależność partyjną, ale robi się inaczej.

Najlepszym dowodem tego są obecne wybory. Kobiety zajmują się energicznie przygotowaniem i propagandą wyborczą. Propaganda ta jest prowadzona na tle obozów politycznych, a więc jest akcją wybitnie polityczną.

Zapewne, byłoby lepiej, gdyby mogło być inaczej, gdyby można było wystawić poprostu „listę kobiecą“, na której znalazłyby się nazwiska kobiet z różnych obozów.

Warunki ogólne nie sprzyjają jednak takiej akcji.

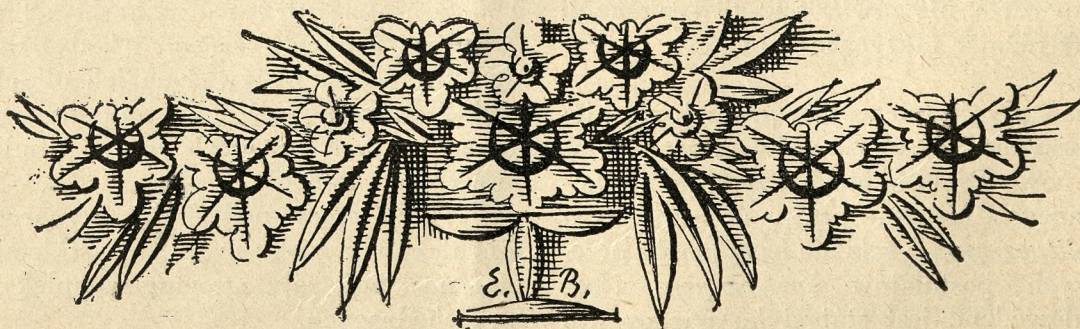
Do nadchodzących wyborów przygotowują się energicznie dwa najliczniejsze ugrupowania kobiece: Narodowa Organizacja Kobiet i Komitet Wyborczy Organizacji Kobietych. Narodowa Organizacja Kobiet, ideowo złączona ze stronnictwem Narodowo-Demokratycznym, jest organizacją liczną, posiadającą oddziały w wielu miastach prowincjonalnych. Osobnego Komitetu Wyborczego dotychczas nie wytworzyła, wszędzie zato odbywają się zjazdy, na których członkinie organizacji zaznajamiają się z planem działania i prowadzenia akcji wyborczej. Naturalnie, prowadzona jest również agitacja w prasie. Na ogłoszonej już liście państwowej widnieje z tego obozu *jedno* kobiece nazwisko do Sejmu i dwa do Senatu. Na listach okręgowych mamy dotychczas osiem nazwisk kobiecych ze Stronnictwa Narodowej Demokracji.

Stronnictwa lewicowe, zgrupowane w tak zwanym Centrolewie: P. P. S. C. K. W., Piast, Wyzwolenie — nie ujawniają żadnych kobiecych ekspozytur wyborczych; kobiety, należące do tych obozów, nie prowadzą oddzielnej akcji wyborczej.

Stanął natomiast do niej z wielką energją Komitet Wyborczy Organizacji Kobietych, działający pod hasłami ideowymi Bezpartyjnego Bloku Współpracy z rządem (B. B. W. R.). W skład tego komitetu wchodzi liczne stowarzyszenia kobiece, jak „Rodzina wojskowa“, „Rodzina policyjna“, Związek Pracy Obywatelskiej i inne.

Komitet Wyborczy Organizacji Kobietych wystawił też liczne kandydatury kobiece do Sejmu i Senatu (około 20 mandatów). Na liście państwowej widzimy pięć nazwisk kobiecych.

Nie jest to więc jeszcze samodzielna akcja kobieca — co zresztą jest niemożliwe, bo niema dotychczas oddzielnej politycznej ideologii kobiecej — jest tylko taka lub inna orjentacja polityczna zasadnicza. Niemniej jednak sam fakt, że kobiety przestają być apolityczne, że organizują propagandę wyborczą, że, nie zadowolając się agitacją pod przewodnictwem mężczyzn, na korzyść ich tylko kandydat, stworzyły własny, samodzielny komitet organizacji kobiecych z dwudziestu własnymi kandydatkami — jest doniosłym zdarzeniem w polskim ruchu kobiecym i w polskim życiu politycznym. *Natalja Jastrzębska.*



JADWIGA KRAWCZYŃSKA.

RÓWNOUPRAWNIENIE I BIAŁE NIEWOLNICTWO

Istniało, jako potężna podwalina systemu społecznego w Rzymie, niewolnictwo barbarzyńców; istniało w Ameryce nowożytnej czarne niewolnictwo. Dziś nie istnieje, zwalczone potężnym wirem wyzwolających sił społecznych.

Tak samo zginie i białe niewolnictwo!

Nie ludźmy się, że dziś lub jutro. Tak samo, jak nie ludźmy się, że zginie z powierzchni ziemi wyzysk, nędza, przestępstwo, z niem związane. Lecz białe niewolnictwo kobiety, prostytutka i handel żywym towarem (zachowajmy tę ponurą nazwę!) nie mogą być i nie będą długo podwaliną systemu moralności i obyczajowości społeczeństw.

Przedewszystkiem zaś nie wmawiajmy sobie, że groźne zjawiska nie istnieją, lub nie są groźne, albo, że znikną same, bez udziału woli ludzkiej, bez walki żywiołów zła i dobra.

W walce tej nie mogą kobiety pozostać biernymi widzami. Zwłaszcza, że są sprawą samą niesłychanie zainteresowane i to bez względu na to, czy chcą, czy nie chcą.

W szeregu krajów udział kobiet w racjonalnym opanowaniu tej strasznej klęski społecznej walcnie przyczynił się do uleczenia sytuacji. Kraje Skandynawji, Anglja mogą być wzorem, jakimi drogami dążyć należy do reformy.

W Anglji, kraju zaludnionym przez rasę trzeźwą i wysoce posuniętą w kulturze, już w roku 1870 rozpoczęto wielką krucjatę abolicjonistyczną pod wodzą jednej z najszlachetniejszych kobiet świata, Józefiny Butler (o której życiu i zasługach przed pewnym czasem pisałam na łamach „Bluszczu”).

Teraz zaś odbył się w Warszawie Międzynarodowy Kongres Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi. Mówiono głośno i pisano dużo. Jest więc widoczny postęp w myśleniu naszego społeczeństwa. Największym bodaj postępowaniem jest fakt, iż uznano za mądre i zdrowe zerwać z obłudą, hipokryzją, i zagadnienia życiowe, bolesne i tragiczne, odsłonić, wyprowadzić na światło dzienne, zbadać, wykazać ich źródła, przyczyny, skutki, aby móc je racjonalnie leczyć, stosując najbardziej celowe metody.

Zwłaszcza, gdy zagadnienie jest tak bardzo trudne, tak ogromnie skomplikowane — tem większa jasność i szczerłość w traktowaniu go jest konieczna. Tem większa bezstronność i sprawiedliwość.

Dodajmy, że zagadnienie to jest niesłychanie rozległe. Kto chce bodaj zorjentować się w niem, nie może poprzestać na zasłyszanych tu i owdzie zdaniach, na jednym odczycie, lub przygodnej dyskusji. O kwestji prostitucji i teorjach jej zwalczania napisano wiele studjów fachowych z punktu widzenia medycyny i psychologii, socjologii i historii cywilizacji. Ale w języku polskim istnieje bardzo mało materiału, godnego polecenia¹⁾.

Usystematyzowanym informacyjnym materiałem o stosunkach, istniejących pod tym względem w Europie współczesnej, jest wydana przed paru laty

ankieta Komitetu Rzecznawców Ligi Narodów. Ostatniemi laty zagadnienia takie, jak abolicjonizm (zniesienie koncesjonowanych domów publicznych i wszelkich przepisów policyjno-administracyjnych, oraz przymusowej kontroli sanitarnej w stosunku do kobiet, uprawiających nierząd, co wyjmuje je z pod ogólnych praw obywatelskich) — w przeciwstawieniu do neoreglamentacji (przymus rejestracji i kontroli sanitarnej prostytutek) i reglamentacji (system domów publicznych, uznanych przez państwo, specjalne nawet dzielnice, wydzielone w miastach dla celów nierządu, oddanie nadzoru nad prostytutką czynnikom policyjnym — co równa się protegowaniu pośredników i stręczycielek i wydaniu kobiet na łup nieograniczonego wyzysku) — te zasadnicze kwestje są dyskutowane w prasie i budzą bardzo różne i znamienne opinie.

Mnóstwo zagadnień, jak praca i bezrobocie kobiet, emigracja, wpływ kina i kabaretów, uświadomienie seksualne młodzieży — oto dziedziny, które we współczesnej publicystyce występują w związku z handlem kobietami i dziećmi.

Ten ostatni punkt, podkreślany zwłaszcza w akcji Ligi Narodów (Sekcja opieki nad kobietami i dziećmi) — handel dziećmi — powinien być punktem wyjścia dla ocenienia całokształtu sprawy.

Ofiarami prostitucji i przedmiotami handlu międzynarodowego w celach nierządu są z reguły osoby nieletnie — naprawdę dzieci!

To jest potworność, która musi oburzyć najbardziej obojętnych

Z wszelkich statystyk, informacji urzędowych i społecznych, z faktów bieżącego życia wiemy z całą dokładnością, iż „karjera” prostytutki zaczyna się w jej 14-tym, nierzadko 12-tym roku życia — a tych, które na tę drogę wkraczają po 20-tym roku życia, jest znikoma liczba.

Prostitucja jest w całej pełni sprawą wyzysku fizycznego i moralnego, uprawianego przez dorosłych na nieletnich dziewczętach — dzieciach.

Poza grupą dzieci anormalnych fizycznie i psychicznie, obarczonych zwyrodnieniami (więc tych, które w dobrze zorganizowanych społeczeństwach powinny być leczone i traktowane metodami wychowania specjalnego), wszystkie inne młodociane ofiary nierządu są naprawdę ofiarami nędzy i ubóstwa, nieszczęśliwych warunków rodzinnych, sieroctwa, niegodziwości i niedbalstwa opiekunów, nierzadko rozmyślnie, terorem zmuszających dziewczęta do nierządu i czerpiących stąd zyski dla siebie — bądź ofiarami uwiedzenia, lekkomyślności i głupoty własnej, ofiarami naiwności i łatwowierności wobec podstępów zorganizowanych pośredników²⁾.

W tych warunkach wnioski sam się nasuwają, iż zwalczenie prostitucji mogłoby być dokonane bardzo prostolinijnie — przez doskonałe, staranne wychowanie i racjonalną, zorganizowaną opiekę rodzinną i społeczną nad dziećmi i młodzieżą obu płci.

W obecnym jednakże stanie naszej kultury, nie-

tylko w Polsce, gdzie nadażyć nam trudno z tworzeniem tysięcy instytucyj najpotrzebniejszych, lecz i w innych krajach, gdzie, mimo pozorów wysokiej cywilizacji i dobrobytu, wychowanie młodzieży jest więcej dziełem przypadku, niż doskonałości metod i instytucyj — kwestja jest niezmiernie skomplikowana.

W olbrzymiej większości wypadków, nierząd płatny i handel żywym towarem wyrastają na podłożu ekonomicznym. Nędza, kryzys mieszkaniowy, bezrobocie, niskie zarobki rzesz kobiecych, niedostateczne utrzymanie, brak zawodowego wykształcenia kobiet, skazujący je na zależność materialną, zwyrodnienie rasy i niski poziom kultury moralnej — oto wszystko rozsądni nierządu.

Okresy wojny i przesilen gospodarczych zawsze wzmagają znacznie zstępstwa kobiet, szukających zarobku w nierządzie. Poprzestaniemy na tych ogólnikach, nie chcąc przytaczać najdrastyczniejszych przykładów.

Z drugiej strony działają międzynarodowe organizacje aferzystów, ciągnących zyski z pośredniczenia w haniebnym procederze, organizacje solidarne, rozporządzające wielkimi kapitałami, nie obawiające się rządów, zwłaszcza w tych państwach, które utrzymują system reglamentacji.

Walka z temi czynnikami musi być z natury rzeczy prowadzona na terenie międzynarodowym, siłami międzynarodowymi.

Dlatego od początku propaganda abolicjonizmu oparła się na organizacjach społecznych o charakterze międzynarodowym. Dlatego też obrano obecnie, jako centrum oficjalnej akcji walki z handlem kobietami i dziećmi — Ligę Narodów.

Pod auspicjami Sekcji Opieki nad Kobietami i Dziećmi w genewskim parlamencie świata prowadzi się działalność, ustalającą metody postępowania w zespołach państw i za pośrednictwem poszczególnych rządów i organizacyj społecznych poszczególnych narodowości.

(„Polski Komitet Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi“ jest reprezentacją oficjalną na terenie Ligi Narodów).

W Polsce (podobnie jak w Skandynawji, Danji, Niemczech, Czechosłowacji, Austrii) akcja reformy zaznaczyła się w oficjalnem zniesieniu domów nierządu (to znaczy, że nie są one ani koncesjonowane, ani uznane przez władzę za przedsiębiorstwa dozwolone), w szeregu rozporządzeń o zamykaniu tych domów i protokołach policyjnych na pośredników, w wydaniu dekretu, ustanawiającego surowe kary na handlarzy białych niewolnic, wreszcie we wprowadzeniu kobiet do brygad policyjnych śledczo-obyczajowych (o akcji i zadaniach służby policjantek pisał „Bluszcz“ już niejednokrotnie).

Zasadą walki z białem niewolnictwem jest surowe ściganie pośredników, handlarzy, osób, czerpiących zyski z nierządu; a jednocześnie ludzkie, przychylnie traktowanie ofiar-prostytutek, którym w miarę ich chęci i możliwości należy dopomagać do wydobycia się z toni wyzysku i nędzy fizycznej i moralnej. Dotychczas na tej drodze jesteśmy jeszcze w stadium raczej teoretycznym, niż praktycznym.

W akcji tej naczelnem hasłem jest obrona kobiety, ochrona jej godności ludzkiej i jej stanowiska społecznego, opieka nad zdrowiem matek, troska o poziom moralny kobiety.

Jest i w tem hasle spora doza nawykowej hipo-

kryzji, jeśli nie mówi się, iż w tej walce o kobietę walczy się równie dobrze o mężczyznę...

Chodzi tu przecie tak samo o jego dobro, o jego wyższy poziom moralny (zerwanie z podwójną moralnością), o jego zdrowie fizyczne, o jego „odpowiedzialność“ za zdrowie przyszłych pokoleń, które będą miały nie tylko matki, ale i ojców... Że i dla mężczyzny istnieje tu także kwestja godności moralnej, zaczyna ją rozumieć najlepsze jednostki w młodem pokoleniu mężczyzn, zrywając zasadniczo z korzystaniem z poniżającego zarówno kobietę, jak i mężczyznę, nierządu płatnego.

Dalsza zmiana, która będzie głęboką rewolucją moralną i eugeniczną, zależna jest jednak w wysokim stopniu od kobiet, jako matek i wychowawczyń, oddziaływujących potężnie na uczuciową psychikę pokoleń.

Kiedyż społeczeństwo, kiedyż same kobiety zrozumieją, że niema równouprawnienia, póki istnieje system podwójnej moralności i prostytucji!

Wyzwolenie kobiety jest niekompletne, jest iluzoryczne, póki istnieje dwa gatunki kobiet: jeden, korzystający z praw obywatelskich, drugi — wtłoczony w obrotę przepisów wyjątkowych. Przejście z jednej kategorii do drugiej jest łatwiejsze od nę... i upadku.

W społeczeństwach, w których choćby mały odsetek kobiet³⁾ może być przedmiotem handlu i, jako taki, jest traktowany przez resztę obywateli i obywaterek, aprobujących krzywdę i wyzysk wyjętych poza margines społeczności ludzkiej — w tych społeczeństwach niema jeszcze wyzwolenia kobiety!

Zrozumienie tej kardynalnej prawdy natchnie uspołecznione kobiety do dalszej propagandy i walki, w której znajdą sprzymierzeńców i wśród mężczyzn, na drogach idei, wskazanych już przed laty sześćdziesięciu przez wielką przodownicę Józefinę Butler. Czasy dziesiętsze nieuchronnie zbliżają nas do tego.

¹⁾ Posner St. prof.: „Nad otchłanią“ (Warszawa, 1905). Męczkowska T.: „Prostytucja a służące“ (Warszawa, 1906). Maczek J. dr.: „Prostytucja“ (Warszawa, 1927). Jest to monografia, dająca wszechstronny pogląd na sprawę.

²⁾ Bardzo ciekawy materiał zawiera ankieta, przeprowadzona wśród dziewcząt, zamkniętych w domach nierządu w Niemczech (obecnie nie istnieje tam już reglamentacja), zebrana przez lekarzkę-psycholog, dr. Elgę Kem p. t. „Wie sie dazu kamen“ (Jak do tego doszły) München, 1928.

³⁾ Oprócz prostytutek, figurujących w rejestrze urzędu sanitarno-obyczajowego w Warszawie, istnieją liczne zastępy kobiet, uprawiających potajemny nierząd w celach zysku. Według przypuszczeń czynników miarodajnych, Warszawa sama liczyć może 5 — 10 tysięcy kobiet, zarobkujących w ten sposób. Oczywiście, ściśle cyfry nie dadzą się obliczyć. Jeśli wyeliminować kobiety, które wiek wyklucza od prostytucji, to okaże się, że przynajmniej 5 procent młodych kobiet w stolicy czerpie zyski z upodlającego rzemiosła. Nie jest to sprawa, godna lekceważenia, jeśli ogarnia tak liczne rzesze.

Inne nasze wielkie miasto, Łódź — wykazuje przy każdym wzmoczeniu się bezrobocia, które wyrzuca na bruk tysiące robotnic, równoczesny wzrost najędzniejszej, głodującej prostytucji wśród kobiet. Ta nieszczęsna fala znika, gdy fabryki nawo nowo ruszają.

Handlarze kobiet wywożą z Polski zagranicę około 1.000 młodziutkich dziewcząt rocznie.

WIKTORJA RYMWID-MICKIEWICZOWA.

SPOWIEDŹ

*Noszą mnie wichry po świecie. Rzucają me wszystkie strony.
O noce, wieczory i ranki rozbijam serce szalone.*

*O krzywdę, miłość, nienawiść, o żądze i o świętości
zawadzam w zawrotnym tańcu cierpień i wielkich radości.*

*Jak śniegi, lata topnieją. Na mialki pył dnie się kruszą.
Tysiące istnień przeżyłam wieczyście niesytą duszą.*

*Wszystko poruszam w przelocie. Nic mnie zatrzymać nie może.
Nie jestem, szatanie, twoją — nie jestem Twoją — mój Boże!*

*Pomiędzy słońcem jarzącem, a tarczą księżycy zbladła,
pomiędzy złością i dobrem kołyszę się, jak wahadło.*

*Nad czarną przepaścią zbrodni, pod jasnym skrzydłem anielskim
to białem kwieciami rozkrociłam, to rosne trującym zielskiem.*

*Dotykam chciwymi dłońmi kwiatów, i cierni, i błota.
Szczęście mnie w gwiazdach kołysze i ból o ziemię mną miota.*

*Nigdzie pozostać nie mogę. Po świecie wichry mnie noszą.
Wciąż jestem niesytą życiem, męką, miłością, rozkoszą.*

*Nie mogę serca mywikłać z gorzycy i szczęścia solotu
— zmęczona drogą bez końca — gotowa wciąż do odlotu.*

J. PUTIATYCZ-SURYNOWA.

KOTY CIOTKI BOULOT

— I co z ciebie wyrośnie, dziewczyno? — krzy-
czy zirytowana ciotka Boulot. — Co z ciebie wy-
rośnie?!

— Już wyrosło: półdjabłę! — ziewa głos z ka-
napy.

— Wstawaj w tej chwili! słyszysz?!

— Trudno nie słyszeć twego krzyku, ciociu!
Zrozum jednak, że mi się... nie chce wstać... Powinna-
byś się już z tem pogodzić, że jestem leniuch...

Trzeszczy stara kanapa, stos barwnych poduszek
porusza się gwałtownie, a giętka figurka w kwiciastej
„robe de chambre“ przybiera wygodniejszą pozycję.

— Coto za arogancja, moja panno?! Coto za aro-
gancja?! — pieni się Mme Boulot.

Czarna, rozczochrana główka unosi się na łokciu,
a szlafrok wygina się w dużą literę „S“.

— Wcale się ciebie nie boję, ciociu... Trudno! ale
się ciebie nie umiem bać...

— O... o mam tego dość! O... o... pakuj się...
O... o... wynoś się, żeby cię moje oczy nie widziały!...
O... o la la... la la... Mam tego dość... powtarzam...

— Wczoraj mi to samo mówiłaś, ciociu, stojąc
na tem samem miejscu... Nie... przepraszam, omyliłam
się: wczoraj stałaś o kilka kroków dalej, tam... koło
szafy...

Cisza.

Z pod grubej warstwy pudru zaczynają przebi-
jać fioletowe rumieńce oburzenia. Ciężkie piersi pod

czarnym, opiętym fartuchem unoszą się i opadają
raptownie. Skośne, zielone oczy obserwują Mme Bou-
lot. Cisza... Niezwykła cisza. Małe nóżki w czerwo-
nych papuciach zakreślają gwałtowny łuk i stają na
ziemi. Jeden sprężysty skok: ciotka znajduje się w ra-
mionach siostrzenicy i, tracąc równowagę, pada wraz
z nią między żółte, czerwone i fioletowe poduszki oto-
miany. A potem czarna czupryna, przytulona do pe-
katego ramienia Mme Boulot, i cichy, napominający
szept:

— I pocóż mnie wyrzucasz, ciociu? Przecież byś
bezemnie żyć nie umiała ani jednego dnia.

*

— Żleś ją wychowała, ciotko, źleś ją wycho-
wała! — mówi sama do siebie Mme Boulot.

— Nie nauczyłaś małej pracować, tak, nie nau-
czyłaś... — monologuje dalej, schodząc szybko z 6-go
piętra swego pensjonatu na czwarte, do małej, kaflami
wyłożonej kuchenki.

— Odette, dzwoni! — pada komenda.

Dzwonek raptownie zaterkotał... „trr...rrr...“ i za-
chłynał się. Wkońcu jednak rozdzwonił się przecią-
gle, a dokuczliwie. Czterdzieści dwoje drzwi pensjo-
natu Mme Boulot (czterdzieści dwoje białolakierowa-
nych drzwi z matowymi szybami) otwierają się jedne
za drugimi.

Po jasno oświetlonych schodach (po schodach, wyłożonych czerwonym chodnikiem) idą, skaczą, biegną, suną i wdrapują się (zależnie od narodowego temperamentu): francuzi i rumuni, szwedzi i chińczycy, polacy i turecy, Anglicy i murzyni.

Długa jadalnia (dwa stoły, przykryte kraciastymi obrusami) zapelnia się międzynarodowym tłumem.

W głębi kuchni pada komenda:

— Odette, zamknij dzwonek!

Ustaje raptownie przeraźliwy terkot. Na środku kuchni stoi wyprostowana Mme Boulot.

— Louise, sałata na stół! — Czerwone ręce „femme de chambre“ chwytają salaterki z niebieską obwódka, pełne zielonej sałaty, ubranej różowymi plasterkami łososia.

A potem:

— Odette! zupa!

I:

— Louise, ryba!

Z suchym trzaskiem padają na półmisek rumiane wiórki „pommes frites“.

A Mme Boulot, nie zapominając o niczem, myśli jednocześnie o swojej „małej“ — tam, na górze, i o tem... „z kim też zgrzeszyła jej siostra, wydając na świat takiego ślicznego diabła“? Z kim zgrzeszyła? — pyta sama siebie bezsensownie Mme Boulot, wiedząc o tem, że nigdy sobie na to pytanie nie odpowie.

W drzwiach kuchni ukazuje się teraz ogromna postać Mr Boulot w niebieskim fartuchu.

Z kwadratowych przegródek plecionego kosza wyglądają ciemne butelki wina.

— Odette, trzy „czerwone“ i cztery „białe“ na stół!

Teraz już i Mr Boulot pomaga ekspedjować na stół kotlety z drobiu (ubrane zieloną brukselką) i długie szeregi talerzyków, pełnych żółtego i białego sera, oraz patery mandarynek i bananów.

— Louise, trzy maszynki czarnej kawy!

— Odette, mycie...

Sprawnie, szybko funkcjonuje pensjonatowa maszyna. Wszystko słucha rozkazującego, ostrego głosu Mme Boulot.

I służba.

I nawet Mr Boulot.

Tylko tam na 6-tem, w swoim pokoiku nic sobie z ciotki nie robi buntownicza, czarna kotka, zwinięta w kłębek. Ciepło bije ze złotego wnętrza kominka. Leniwie patrzą zielonkawę, zmrużone oczy na czarne grudki węgla i na chwiejące się, fiołkowe płomyki.

*

Mme Boulot ma trzy koty.

Duża, biała kotka chodzi za Mme Boulot cały dzień, sypia z nią razem i miauczy z tęsknoty, gdy jej niema. Nazywa się „Taugette“. Rudy, przegowaty kociak — bawi Mme Boulot, skacze, psoci i łasuje... Jest to najstarszy synek białej kotki i jedyny z dwóch „porcyj“ potopionego potomstwa. Trzeci kot — to Marie-Thérèse — siostrzenica Mme Boulot. Wszystkie koty (jak koty) leniwe, łakome, podstępne, złośliwe, fałszywe, giętkie, zgrabne, zabawne i... pieszczotliwe.

Mme Boulot pracuje! Zawsze pracuje!! Bez końca pracuje!!! i... kocha swoje koty... siłą kontrastu, może właśnie dlatego, że nigdy nic nie robią.

*

Mme Boulot martwi się: zepsuło się centralne ogrzewanie; trzeba płacić podatki; pod Nr. 4-tym złamano poręcz od krzesła; pod Nr. 7-ym zbito karafkę (i popękała politura na stole), a pod Nr. 23-cim spalono ręcznik, susząc go za blisko kominka.

I co jeszcze?

— Mr Boulot zaczyna się zalecać do Odetty! Nie można tego nie zauważyć. Mr Boulot zaleca się do Odetty!!

Pionowa zmarszczka między brwiami pogłębia się. Mme Boulot martwi się. Wraca właśnie z targu i, strapiona, przysiada na schodach, przytrzymując dwie ceratowe torby.

Na zakręcie schodów, na tle czerwieni chodnika bezszelestnie przesuwa się biała kotka. Za chwilę pazurki skrzypią, obsuwając się po ceracie torby, a biała łapka śmiesznie chwytą chwiejącą się na wystającej marchwi. Potem skok, wzięcie przeszkody i pomruk cichutki zadowolenia na rozłożystych kolanach Mme Boulot.

Tam, na górze, trzaśnięcie drzwi. Po chwili rozlega się stłumione przez chodnik „staccato“ zbiegających kroków. Na zakręcie schodów, na tle czerwieni chodnika, przesuwiają się małe nóżki w popielatych pantofelkach. Rąbek popielatego futra. Torebka. Całe palto. Główka czarna w filcowym kapeluszu.

— Marie-Thérèse o tej porze?

Smukła dziewczyna wsuwa się między ciotkę, torby i barjerę schodów.

— Co za interes o tej porze? — dziwi się Mme Boulot. — A nie wpadnij pod samochód, postrzelona dziewczyno! — krzyczy za ginącym na zakręcie filcowym kapeluszem.

— Nie obawiaj się, ciociu! Umierać tu, w Paryżu, gdzie można sobie kupić tyle cudnych szmatek?! O nie!...

Ustało szybkie „staccato“ kroków. Trzaśnięcie drzwi i brzęk szyb. Bierze swoje torby Mme Boulot i, zazdroszcząc beztroski swojej małej siostrzenicy, wstępuje pomału na górę, bo przecież:

— O 12-ej punktualnie trzeba dać południowe „repas“...

*

Odette szuka. Odette się niecierpliwi. Odette się złości. I znów Odette szuka. Pootwierane wszystkie szufladki w komodzie i szafie. Powywracane lalki, kupione na Montmartrze i stłuczony „porte bonheur“ — porcelanowy pelikan.

Odette szuka...

Zginał grzebień. Zginał róz do twarzy. Zginał ołówek do ust i ten do brwi. Zginał krem do nosa i ten do rąk. Zginęły rurki do ondulacji (z odciągana maszynką!...).

Do tego wszystkiego — rozlega się zaspany głos Marie-Thérèse:

— Odette, prędko... Madame czeka na ciebie pod 41-ym...

Więc Odette musi bieć... i biegnie. A pod 41-ym niema Madame. Zato patron w wielbłądzim swetrze i niebieskim fartuchu pali na kominku.

Odette czuje, że musi strasznie wyglądać! Monsieur patrzy na nią! A ona ma roztargane włosy, szarą twarz i zapuchnięte od snu oczy! Odette zakrywa twarz rękami i ucieka. Na korytarzu śmieje się Louise'a w swoim białym czepeczku, śmieje się patron i Madame — z ceratowymi torbami, wracająca

z targu. Śmieje się też i Marie-Thérèse, bardzo zadowolona z fortelu, biegnąc po ludnych i słonecznych bulwarach Paryża.

*

Mme Boulot kocha swoje koty. Kupuje im nawet na solde'ach wstążki (po 50 cm. za metr)! A wdzięczna siostrzenicy za „historję z Odettą“ (do której zalecał się Mr Boulot), ofiarowuje jej jedwabny „combinaison“ z żółtą koronką aż za 34 franki!

Kto nie zna książki rachunkowej Mme Boulot, kto nie zna jej kasy ogniotrwałej, kto nie zna jej oszczędności i jej natury — ten nie wie, jak bardzo kochać musi swoje koty Mme Boulot, żeby na nie wydawać aż tyle franków!

*

Mme et Mr Boulot — szesnaście lat temu — zaczęli... od budy jarmarcznej na placu Italie. Strzelnica ich stała między karuzelą z jednej strony, a budą z cyrkiem — z drugiej. Mr Boulot głośnym krzykiem zwabiał tłumy, a Mme Boulot wabiła uśmiechem, słiczną twarzą i jaskrawymi sukniami. Mr. Boulot ciągle się bał, że mu żonę kto zabierze; kochał ją, szalał z zazdrości, warjował, krzyczał. Wkońcu strzelnicę sprzedał i kupili mały „pension“.

Teraz? Teraz jest duża, buchalteryjna książka, stosy rachunków, kasa ogniotrwała, a Mr Boulot jest zupełnie spokojny, że mu żony nikt nie zabierze. Kogóżby mogła zaciekawic teraz ta otyła Mme Boulot, w czarnym fartuchu, z silnie upudrowaną i zmęczoną twarzą? Teraz? Teraz wszyscy warjują za zielonemi oczami Marie-Thérèse... Niemiec pisuje do niej listy. Anglik przesyła fotografię. Murzyn przewraca oczy. Chińczyk się uśmiecha. Francuz przynosi bilety do „Cinema“. Turek tragedję urządza pod jej drzwiami. A wuj Boulot... śmieje się z nich wszystkich.

Marie-Thérèse zaś... kocha się... w sobie i spędza dzień leniwej kotki: myje się, śpi w ciepłym kominku, łasi się, chcąc dostać nową (długą z tyłu) sukienkę; je całemi dniami czekoladki i drapie wszystkich pazurkami swoich złośliwości — mając w oczach zmrużonych i sennej twarzyczce coś z kota, który przyciśnił się, który udaje, że drzemie, a szykuje się do skoku...

*

Pod oknem gra jazz... Składają się na niego wszystkie rasy, mieszkające w pensjonacie. Śpiew; mandolina, talerze i szklanki... Marie-Thérèse tańczy. Nóżki skradają się, a figura gnie się leniwie w przeciągłych ruchach tango.

Na sukienkę czerwoną Marie-Thérèse wyszło tylko 75 cm. jedwabiu. Widać więc ramiona, obejmujące tancerza, widać nogi do kolan, widać całą figurę pod obcisłą, za wąską sukienką.

Mr Boulot właśnie niesie do kredensu stos umytych talerzy.

Przystaje i patrzy. Z nad ramienia oszołomionego tancerza patrzy na Mr. Boulot lśniące, skośne oczy. Te oczy mówią o niezrozumiałych, dawno zapomnianych szaleństwach młodości.

— Sacré nom! — Krew uderza Mr Boulot do głowy.

Te nagie ramiona, ta za wąska sukienka, te nogi, te leniwe i gibkie ruchy... to wszystko... sacré nom!! I ten smarkacz z pod Nr. 29-go... tańcząc z Marie-Thérèse, musi doznawać za dużo rozkoszy...

Mr Boulot za wszelką cenę musi przerwać ten taniec! Mr Boulot przerwie ten taniec!!

Huk... trzask nieopisany rozbijających się talerzy zagłusza jazz... Po całej sali rozpryskują się kawałki potłuczonego fajansu. Marie-Thérèse musi przestać tańczyć i... przestaje...

A z kuchni wybiega Mme Boulot i staje przerażona nad stosem biało-niebieskich skorup...

— Dwa tuziny talerzy od serwisu!

*

Ona pierwsza wytłumaczyła Mr Boulot, że on ją dawno kocha... że szaleje za nią, tylko, że nie zdawał sobie dotąd sprawy z tego „stary głuptasek“...

Ona pierwsza, ta zepsuta dziewczyna rzuca się mu w ramiona. Ona pierwsza powiada mu, że go kocha, że zazdrosna jest o to „czupiradło“ Odette, że teraz, przed chwilą sprowokowała go umyślnie tym tańcem, by mu oczy otworzyć...

Zapytuje więc ją stary zazdrośnik o tych tam wszystkich młodych chłopców, co głowy dla niej trącą, a szczególnie o tego z pod Nr. 29-go? Czy?...

I odpowiada mu Marie-Thérèse, że oni wszyscy nie egzystują... Ich niema... Czy on to rozumie? Ich niema... jest tylko on jeden... on jeden!

*

Książka buchalteryjna sprawia od jakiegoś czasu Mme Boulot dużo kłopotu. Rachunki się zgadzają, a w kasie ogniotrwałej brakuje pieniędzy. Mr Boulot widocznie bierze pieniądze, wydaje i... nie zapisuje! Okropność! Dzisiaj 3.500 franków! Brakuje 3.500 franków!! Bagatela...

Mme Boulot zamyka hałaśliwie grubą księgę i zrywa z kolan małego, pręgowanego kociaka. Między brwiami pogłębia się pionowa zmarszczka.

— Oh... Marie-Thérèse — zwierza się zgnębiona — mam wrażenie... mam wrażenie, że Mr Boulot wydaje pieniądze na... kobiety...

Madame mówi wyjątkowo cicho...

— I ja mam to samo wrażenie, ciociu...

— Oh! 3.500 franków... Marie, słyszysz? 3.500 franków! — cyfra ta wydobywa się ze ściśniętego gardła wysokim falsetem nieopanowanego wzruszenia.

— Ależ słyszę... słyszę... trudno cię nie słyszeć, ciociu: tak głośno krzyczysz!

— Dokąd idziesz?

— Kapać się.

— Zostań... Taka się czuję sama i zmęczona tem wszystkim.

— Bo widzisz, ciociu, dużo w tem wszystkim i twojej winy. Trzeba było nie słuchać Mr Boulot tam na placu Italie. Niechby szalał z zazdrości, niechby kupował ci drogie suknie. Dotąd byłabyś jeszcze ładną i młodą kobietą.

— Masz rację... Może masz i rację?

Marie-Thérèse sadza ciotkę na kolana małego rudego kociaka i głaszcze go ręką białą o długich, różowych paznogiach.

Mr Boulot, zgnębiona, odruchowo patrzy na tę rączkę, widząc w jej ruchu miękkość pieszczoty, a nie widząc jej zdradliwych pazurków i dużej perły na czwartym palcu...

— Ciociu... nie widzisz, co sobie kupiłam?

— Pierścionek? I ja kiedyś przepadałam za taniemi błyskotkami...

— Wiesz, ciociu? Widziałam taki sam z prawdziwą perłą za 3.500 franków!

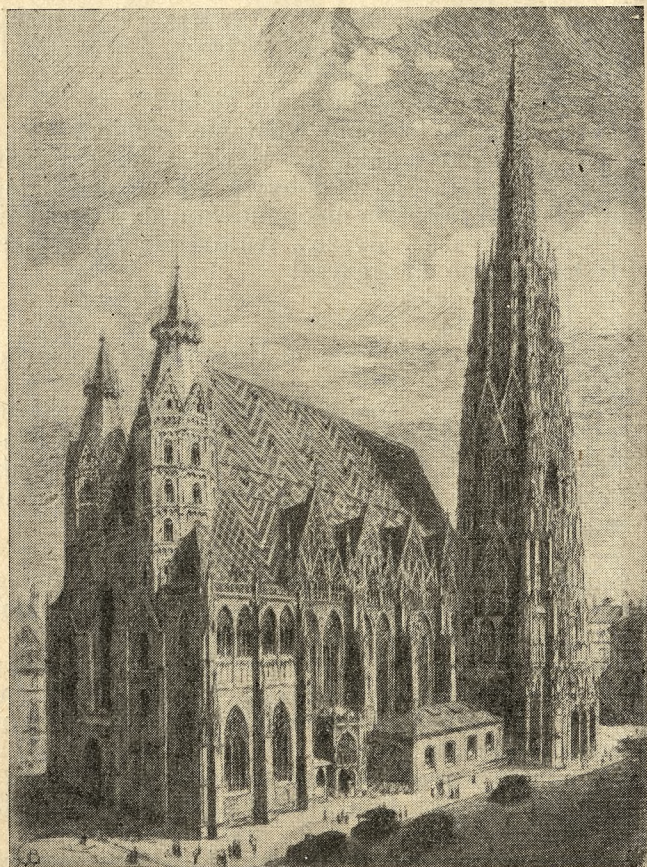
Paryż—Warszawa 1930 r.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW.

STARY A NOWY WIEDEN

Zmierzch „Miasta moich marzeń”. Ludzie i kamienie. Co ma szyk wiedeński do monarchji Habsburgów? Targi. Tandeta w hurcie — rykrint w detalu. Maszyna do prania i suszenia bielizny. Krupnik. Szale, jumpry, piżamy i futra. Meble wiedeńskie, a dusza drzewa.

Przyznaję, że Targi Wiedeńskie mnie zawiodły. Przedewszystkiem dlatego, że wprawdzie nie każdy może powiedzieć o Wiedniu, iż jest miastem jego marzeń, ale zato każdy jedzie do Wiednia z tym leciutkim sentymentem, jaki się żywi dla wspomnień młodości, dla pierwszych — jakże naiwnych! — dreszczy nowego świata czarów. Bo przecież niema chyba nowoczesnego polskiego globrottera, któryby w Wiedniu poraz pierwszy w życiu nie stanął olśniony majestatycznym gotykiem tumu św. Szczepana; któryby w masywnym Burgu, czy w Muzeum Lichtensteina nie zobaczył swego pierwszego Rafaela, czy Boecklina; albo nie rozmarzył się w uliczkach starego Wiednia przy dźwiękach straussowskiego walca „nad modrym Dunajem”, granego w jakiejś zacisznej knajpce przez domorosłą kapelę damską; albo rzewnie nie wspomniał o minionej chwale polskich orłów na wzgórzach Kahlenberga, nie uronił łzy nad trumną Orlątką w grobach Habsburgów. A są i tacy, co kochają Wiedeń poprostu dlatego, że to jest ich miasto studenckie, miasto, które ich nauczyło kochać bez troską wesołość, dołeczki w buzi złotowłosej wieden-



...któż poraz pierwszy w życiu nie stanie olśniony majestatycznym gotykiem tumu św. Szczepana...

ki, i pełne bursztynowego soku dołeczki w knedelkach ze śliwkami, piwo, pieniące się w kuflach i radość, szumiącą we krwi...

Więc, kiedy po latach człowiek przypadkiem zawita do Wiednia, to wśród starych kamieni, porośniętych pleśnią wieków, szuka swojej własnej młodości. I pragnąłby wszystkim się zachwycić i przykroć mu, że tylko kamienie zachowały dawną dostojność, a ludzie zszarżeli, zmaleli, spopolitowali się. Tradycyjny szyk wiedeński skurczył się, razem z Austriją, jak balonik, z którego wypuszczono gaz. Kto wie, czy tym gazem nie była atmosfera dworu, z którym lud wiedeński obcował w pełnej szacunku, ale jednak poufałej zażyłości?...

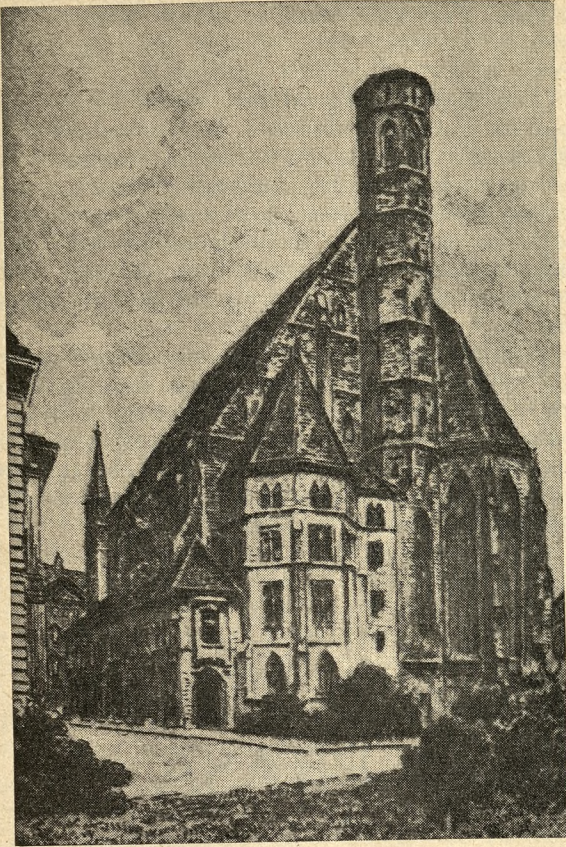
Gazy trujące zabiły zaduch habsburski, ale i jedne, i drugi nie wywietrzyły o tyle, żeby mógł się wytworzyć świeży, powojenny klimat o zdecydowanym zapachu. Dawny Wiedeń już nie istnieje — nowy jest jeszcze podlotkiem, obciążonym wszystkimi dziedzicznymi nałogami i tradycjami przodków, a jednocześnie zdeformowanym hipertrofiami wieku przejściowego. Ta przejściowość objawia się najwyraźniej w wytwórczości Wiednia, w tem, co produkuje masowo, na eksport, w tem, w czym się specjalizuje, czym się chlubi. I tu uderza odrazu ilościowa supremacja brzydoty. Rzecz ciekawa: właśnie na Targach u hurtowników, nie na wystawach sklepowych, obliczonych na wrażliwość pojedynczych nabywców.

Żeby zobaczyć na Targach jedną rzecz naprawdę ładną, trzeba było przebrnąć przez trzęsawisko jarmarcznej tandety.

Jakieś okropne zabawki, rozpaczliwe figurki z porcelany i majoliki; poduszki, które mogą pozbawić snu najleniwszego śpiocha; nieprawdopodobnie drogie i wcale niezachwycające woreczki gobelinowe, od których widoku oczy zaczynają boleć na myśl, ile hafciarek traci wzrok przy ich wyszywaniu; wreszcie, niegustowne swetry (typ, pogardzony już dawno przez nasze, „anioły do wszystkiego“).

Z urządzeń gospodarskich demonstrowano jedną ciekawą rzecz: maszynę do prania i do suszenia bielizny jednocześnie. Dziesięć minut wystarcza na upranie 4-ch kilogramów bielizny, pięć na jej wypłókanie, dwie na wysuszenie. Bieliznę wygniatają specjalne tłoki w kształcie dzwonów, wciskając w nią wodę mydlaną zapomocą zgęszczonego powietrza. W ten sposób bielizna zostaje doskonale przesiąknięta wodą z mydłem i przepłókana, przyczem nie ulega tarcniu i rozdzieraniu. Po wypraniu wkłada się mokrą bieliznę do centryfugi o dziurkowanym bębnie, który wprawić można w ruch dopiero po zamknięciu pokrywy. Tam następuje wysuszenie, dzięki szybkiemu pędowi powietrza. Brudną wodę odprowadza się zapomocą automatycznej pompki. Wszystko to wygląda bardzo pięknie w teorji. O rezultatach pouczyłby nas „Easy“, wypróbowały w praktyce.

Jeśli chodzi o konfekcję, to ogólny zachwyty



...kiedy człowiek po latach zawita do Wiednia, to wśród starych kamieni szuka swojej własnej młodości...

wzbudzała prześliczna i zbyt kornie wykoronowana i wyhaftowana bielizna. Zresztą cały Wiedeń jest nią dosłownie zarzucony. Szczególniej nocne koszulki z różowego i białego crêpe satin (biały kolor w bieliznie znów wraca do mody) sprawiały wrażenie raczej strojnych negligów, niż koszuli, w której się śpi. Milutki też były reklamowe chusteczki jedwabne, po parę szylingów sztuka, z wyhaftowanymi gobelinowym ścięciem motywami. Nowością są dłuższe, kłozowe „dessous“, zamiast dawniejszych „combinaisons“, zastosowane do aktualnej mody.

W dziale ścisłej konfekcji królował Krupnik, zarówno na Targach, jak w całym mieście. Ze wszystkich gazet, na wszystkich rogach ulic, z za każdego niemal węgla witała cię nazwa tej zacnej polskiej zupy, lub gorącego napoju (co kto woli), obiecując rozkosze zgoła nie kulinarne. Na Targach zdążyłam zobaczyć w witrynie kilka sukien Krupnika, przeważnie białe lub czarne, wieczorowe. W ogólnym zarysie były prześliczne, ale każda niemal miała jakiś niefortunny dodatek, który psuł całość. Jakies szelecunki z różnokolorowych paciorków, jakaś rozpaczliwa klamra, jakiś nieszczęśliwy kwiat, jakies „echt wiener“ cudactwo świadczyło, że to jednak nie Paryż, a nawet nie Warszawa. Żałuję, że nie byłam na rewji mód u Krupnika. Głosił, że pokazuje 1000 modeli. Nicby mu jednak nie zaszkodziło, gdyby przyjechał na pokaz do Hersego lub Myszkorowskiego, gdzie zobaczyć można wprawdzie mniej modeli, ale zato w lepszym guście. Niskością cen zdumiewały szale, haftowane w wielkie kwiaty — może dlatego, że ślicznotki nie są już modne.

Napróżno na Targach szukałam pięknych try-

kotaży. Znaleźć je można dopiero na Kärtnerstrasse w istnej powodzi jumprów i garsonek. Wybór duży, ale naprawdę ładne są bardzo drogie.

Specjalnością Wiednia są piżamy. Najrozmaitsze: lekkie do spania z crêpe de chine, z pół-jedwabiu, zastępujące negliż domowy, wreszcie pikowane jedwabne, bardzo ciepłe. Wszystkie, zgodnie z ostatnim krzykiem mody, mają kaftaniczki krótkie, ledwie sięgające do pasa, w talji ściągnięte na gumkę i wyrzucone formą „blousée“. Z przodu skrojone, jak kamizelka z wyłogami, zapięta na dwa rzędy guzików. Spodnie wciągane na wierzch, niemal pod pachy, nieprawdopodobnie szerokie. Całość stanowi coś pośredniego między kombinezonym lotniczym, a strojem cowboya. Niewiasta wygląda w nim zuchowato, zgoła nie jak „słaba pleć“.

Jeśli chodzi o futra, na Targach widziało się głównie skórki (transakcje hurtowe), zato w sklepach mnóstwo płaszczy gotowych i lisów. Naturalnie, że piękne i rzadkie futra były drogie; natomiast bardzo ładne imitacje wprost fantastycznie tanie. Widziałam na wystawie na Kärtnerstrasse imitację niebieskiego lisa, zupełnie przyzwoitą, a nawet ładną, za... 75 szylingów, czyli mniej więcej za sto złotych. Nie wiem, czy po dwóch miesiącach noszenia owo puszyste zwierzątko nie stanie się podobne do wyleniałego kota, ale wobec tego, że lisy już przestają być modne (podobno), możeby nasi futrzarze zastanowili się trochę nad niższą ceną na lisy „farbowane“, na których i tak każdy się pozna.

A teraz — czołem przed tym działem: to meble. Nie przypuszczałam, że Wiedeń zdobędzie się na taką godność, prostotę i powagę. W ostatnich czasach tyle nam pokazywano w tej dziedzinie niemieckiej ohy-



Z zabytków starego Wiednia. — Kościół św. Karola.

dy z rur żelaznych, że po tych „krzesłach tortur“, spokojne, majestatyczne meble, całe z jednolitego drzewa, czyste w linii, proste w kształcie, z jedynym, ale jakże bogatym ornamentem w postaci naturalnego rysunku słoju drzewnych, dobranych z artystyczną precyzją — działały, jak muzyka Mozarta po grzechotkowej perkusji.

Pamiętam, jak pięć lat temu na wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu zachwycano się meblami polskimi, w których francuzi odnaleźli to, co sami zatracili pod supremacją złocień, rzeźb i materji: *duszę drzewa*. Otóż ta dusza drzewa króluje niepodzielnie we współczesnych meblach wiedeńskich i wogóle austriackich. Jako materiał, używane są gatunki drzew egzotyczne: orzech kaukaski, orzech i dąb kanadyjski, brzoza kanadyjska, zbliżona bardzo do naszej czeczotki — wszystkie o prześlicznym i niezwykłym układzie słoju, umiejętnie wykorzystanym przez kunszt stolarski. Szczególną szlachetnością i spokojem stylu odznaczały się jadalnie i sypialnie. Pewna tendencja

do monumentalności nie im nie ujmowała swoistego wdzięku. Przytem ceny zupełnie przystępne wobec wysokiej wartości artystycznej (przeciętnie 5 tysięcy złotych za sypialnię lub jadalnię).

Dla tego jednego działu mebli warto było przyjechać na Targi Wiedeńskie. Wynagradzał on pokutną pielgrzymkę w krzyżowym ogniu tandetnych cacek, przypominających ohydne kramy prowincjonalne bez tego specjalnego uroku, jaki daje prowincja, wogóle wszelki regionalizm. Jak oaza na pustyni, kwitły tyrolskie tkaniny, meblowe i dywany, ale nie można było nic z nich nabyć: były to próbki dla hurtowników.

Nigdzie nie zauważyłam naszych kilimów, tkanin meblowych, garnczków ludowych, kogutków odpustowych, a szkoda! Był przecież dział francuski, czyżby nie można było postarać się o kącik polski? Warto o tem pomyśleć z okazji zbliżających się jubileuszowych targów wiedeńskich, zapowiedzianych na okres od 8-go do 15-go marca 1931 r.

ZOFJA DZIĘCIOŁOWSKA-BRYKALSKA.

KOBIETA, POLITYKA I PRASA

Pytanie, dlaczego kobiety nie interesują się tem wszystkim, co ryczałtowo nazywamy polityką, dręczyło mnie oddawna. Dręczyło mnie dosłownie, bo już, jeśli się raz ma to szczęście, czy nieszczęście być kobietą, toby się chciało, by słowo „kobieta“ nie miało treści gorszej, niż słowo inne, jak „człowiek“, „mężczyzna“ i t. p. A tak często słyzy się lekceważenie sądu kobiecego o sprawach ogólnych, dotyczących czy to polityki, w ścisłym tego słowa znaczeniu, czy też zagadnień ekonomicznych, gospodarczych i t. d. Musimy przyznać, że na takie lekceważenie zasłużyliśmy, biorąc pod uwagę ogół kobiet, nie jednostki, czy dziesiątki, a choćby nawet setki tych, co stoją na oficjalnym świeczniku świata kobiecego.

Dlaczego tak jest? Czy jest to nasza wina? Czy wina tkwi może poza nami, w sposobie naszego życia, a może w samej istocie polityki?

Mamy (ten ogół kobiet) wstręt do polityki. Współczesna polityka wraz z nieodłączną dyplomacją jest kompleksem wielu zagadnień, czasem uzupełniających się, czasem całkowicie odrębnych, czasem zazębiających się w nieodłączną całość, jest przeto podłożem do tak różnorodnych oświeleń, zaciemnień, refleksyj, rozumień i wprost odczuć, że kto na politykę patrzy z daleka, a więc obiektywnie, nie będąc sam w tym wirze — może odczuwać do polityki nawet silną animozję. To tak, jakby ktoś, usposobiony smutnie, czy poważnie, patrzył przez dziurkę od klucza na salę balową, na tańczące i niewiadomo czem rozradowane pary. Refleksje obserwatora będą mało korzystne dla bawiących się. Ale jeśli on sam weźmie udział w zabawie, przestanie mu się ona wydawać głupstwem i czemś jałowem, porwie go, oszołomi, może zachwyci.

Dzisiejsza kobieta jest tylko widzkiem tego, co się dzieje w świecie, i to widzkiem roztargnionym, co chwila tracącym wątek wielkiej akcji historii świata.

Dlatego, że patrzy zdaleka, dlatego, że jest roztargniona, widzi złe strony polityki i nudzi ją ona. A może i boi się jej potrosze? Kobieta ma naturę namiętą, zapalną, łatwo grozi jej zatracenie w tym splocie zagadnień. Niejednokrotnie rozmawiałam z paniami (nielicznymi) o pewnej wyraźnej linii przekonań politycznych: zawsze były krańcowe, zawsze były wprost niegrzecznie narzucające swe zdanie, zawsze robiły głupców z ludzi innych przekonań. Nie były tolerancyjne. Zdarza się to często wśród mężczyzn, lecz u niewiast jest zjawiskiem stałym — dla pewności powiem: prawie stałym. I przykład ten odstręcza od polityki kobiety, od kobiet politykujących — mężczyzn, wogóle depopularyzuje dążność do uświadamiania politycznego kobiet.

Bo tak zatracać siebie, swą kobiecość, swe maniere, swój wdzięk, aby w towarzystwie albo z tribuny wyrzucać z siebie przykre słowa, z ogniem na twarzy, z płonącymi oczami — to nie każda z nas chce, nie każdej z tem do twarzy (duchowo i fizycznie).

Czy to jest jednak argument dostateczny, by od polityki stronić?

Na to jest rada inna, sięgająca do meritum sprawy: opanujmy swą naturę, swoją wrodzoną egzaltację, bądźmy więcej umiarkowane („Znaj środek“ — powiedział Tales z Miletu), nie zaprzędawajmy duszy wszystkiemu, co robimy — czy to będzie Underwood, czy Księga Główna, czy tennis, czy kuchnia, czy polityka. A politykując, znajdziemy mniej skrajne miejsce dla siebie i bądźmy tolerancyjne. W dotychczasowej historii najwięcej było kobiet skrajnie obojętnych, lub biorących udział w skrajnie napiętych sytuacjach, jak rewolucja francuska, czy rosyjska.

Z egzaltacji powstają wszelkie wielkie dzieła, lecz nie każdy jest do nich powołany. Masy, tłum, egzystencję swą, zdrowie i ciężką wewnętrzną za-

pewnić sobie mogą wyłącznie syntezą życiową, łączeniem życiowych sprzeczności, umiarkowaniem w stosunku do różnych spraw, jakie daje życie, interesowaniem się tem wszystkim, co kino życia przed oczu wysuwa.

Może niejedna z nas świadomie unika polityki, nie wierząc swej inteligencji, nie widząc wogóle, że to się na coś przyda (no, bo my przecież jesteśmy niemożliwie praktyczne). O to nie pyta żaden, naj-marniejszy choćby przedstawiciel rodzaju męskiego. Kupuje codziennie gazetę, wie, co się gdzie dzieje, co się gdzie święci, kto kogo, i kto komu i t. d. W towarzystwie kobiet, choćby przewyższających go rozumem, puszy się, jak paw, ze swej wiedzy i albo milczy o tych sprawach, bo to „nie dla kobiet“ (jak — nie dla dzieci!!!), albo też popisuje się erudycją... A panie omal buzi nie otwierają z podziwu, lub z chęci ziewania. Nie, to je nic nie obchodzi. I ów pan ma opinię człowieka inteligentnego (jakby ta inteligencja była tem samym, co magazyn wiadomości!), choć nie czytuje książek, nie zna literatury polskiej, czy obcej, do teatru chodzi tylko na rewję i t. d. A te panie, trusie w rozmowach politycznych, mają opinie ładnych i miłych — tylko tyle, tylko tyle. Ktoby się z nimi liczył? Treviranus? Kto to taki? Dowiedcie się panie, boleśnie dowiedcie, gdy na ołtarzu bożka wojny złożycie synów, córki, mężów...

Tak się wszystko pokręciło z naszą emancypacją, że volens-nolens musimy się powoli wciągać w coś więcej, niż pracę zawodową. Z nią poszło łatwiej, bo rządził nami mus. W innych dziedzinach, gdzie musu niema, gdzie go raczej aktualnie nie możemy stwierdzić, idzie opornie, ciężko, ślimaczo, wstydliwie...

Tak właśnie jest z polityką. Prawo czynne wyborcze dostałyśmy grubo wcześniej, niż na nie zasłużyłyśmy. Przeciętnie głosuje się na listę, do której ma zaufanie mąż, lub też ktoś, kto potrafi przekonać. Nikt nie jest bardziej podatny do agitacji, jak kobieta. Sejm, Senat mają składem swym wyrażać minjaturę społeczeństwa, a wyrażają przeważnie wcale co innego. Mąż głosuje na listę X, żona, oczywiście, też, kucharka też, bo ją pani namówiła. Jest jakiś wiec, ładnie mówiono, dużo obiecano, słuchaczki zostały przekonane i może zajść np. taki wypadek, że głosują na listę antypaństwową, myśląc, że to jest rządowa, socjalistyczna, katolicka, czy inna.

Wybory — to wielka rzecz w dziejach państwa. Oddany głos — to kwestja wielkiej odpowiedzialności! Nie przesadzę, gdy powiem: każdy wyborca odpowiada za losy państwa. Bo czasem jeden poseł danego stronnictwa decyduje o ważnej uchwale, o tym jednym pośle decyduje czasem jeden jedyny głos, brakujący do potrzebnej cyfry.

Demokratyzm, parlamentaryzm dał uprawnienia duże, lecz i równą odpowiedzialność. Brak kompetencji uprawnionych obywateli jest zabójstwem nowoczesnych ustrojów.

Równouprawniona kobieta. Walczyły o nią pokolenia. Wywalczyły nieliczny zastęp kobiet mądrych, postępowych, korzystających w pełni z praw i obowiązków, za którymi ciągnie się nieprzeliczony szereg laleczek w dawnym stylu i kobiet, znękaných

pracą, nie korzystających z niczego, prócz z dostępu do fabryk i urzędów.

Jeżeli stwierdzimy, że dzisiejszy ustrój, zrównawszy stany, pleć, pochodzenie i t. p., nałożył obowiązki i odpowiedzialność społeczną na wszystkich w równym stopniu, to konsekwentnie musimy dążyć do zainteresowania sprawami ogólnymi każdego obywatela kraju, aby obowiązek został wypełniony, aby odpowiedzialność była twórcza.

Skąd się możemy tego nauczyć? Tylko z prasy, ściślej mówiąc — z dzienników.

Narazie nasz rozum polityczny kształci się na nich. Jeden z powodów zaniedbania lektury pism przez kobiety tkwi w tem, że życie jej, jako t. zw. pani domu, częstokroć pracującej jeszcze poza domem, jest wyczerpujące, rozbiegane, rozlatane, z musu nieobjęte w ramy zegarka, bo godzin w dobie zbyt mało; zwykle rozporządzamy dopiero wolnym wieczorem, gdy marzy się tylko o spoczynku, wizycie lub kinie.

Rozumiejąc wszelkie trudności, sądzę, że mogą one być pokonane, a myśl polityczna kobiety polskiej może zostać rozbudzona.

Pierwszym warunkiem jest czytanie pism *stale*, bo tylko wtedy uniknie się ciągłego tracenia wątku, a przez to — zainteresowania.

Należy również czytać uważnie dział: „Co piszą“, gdzie są cytowane zapatrywania innych, obcych nieraz ideowo dzienników.

Dla ułatwienia tej lektury należałoby nam się przygotować: zapoznać się choć powierzchownie z naukami polityczno-ekonomicznymi, a również z konstytucją. W małym zakresie można to znaleźć w podręcznikach t. zw. nauki o Polsce, używanych w szkołach.

Ilość posłanek i senatorek dotychczasowych jest humorystyczna, ale jest zupełnie proporcjonalna do ilości uświadomionych politycznie wyborczyń. Jeśli chcemy mieć ich więcej — a byłoby to pożądane nie tylko dla sprawy „kobiecej“, lecz wogóle dla sprawy — to musimy rozporządzać większą ilością kobiet, „robiących w polityce“, gdyż ilość posłanek musi być w pewnym stosunku do materiału, z którego się je wybiera.

Na zakończenie „streszczam się“: uświadomienie polityczne kobiet jest:

1) potrzebą pierwszorzędnej wagi, wynikającą z obecnego ustroju państwa;

2) jest pożądane ze względu na to, że kobieta, jako „neofitka“, może wnieść do polityki coś ożywczego, rozporządzając odrębną psychiką, niż dotychczasowi rządcy świata;

3) jest koniecznem zakończeniem rozdziału, którego tytuł: „Światem kobiecym dom i dziecko“, i warunkiem wydobycia na światło jej inteligencji. Nie można nazwać człowieka „inteligentem“, jeśli nie umie odróżnić rządu od sejmu, jeśli nie wie, kto to Mussolini, jeśli nie wie o projekcie Brianda.

Nie wszystkie musimy krzyczeć do tłumów z trybun wiecowych, ale wszystkie musimy wiedzieć, kim jesteśmy, czego od nas chcą, czego się spodziewają, co dać musimy, co dać możemy.

A do tego potrzebna nam jest wiedza polityczna.



Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY.

Uroczyste przedstawienie pod protektoratem Komitetu Obchodu 25-o lecia walki o szkołę polską. Odegrano „Młody Las” — sztukę w czterech aktach Jana Adolfa Hertza. Reżyserował Antoni Bednarczyk. Dekoracje Wincentego Drabika. Słowo wstępne wypowiedział Melchior Wańkowicz.

„Nie dlatego uzyskaliśmy szkołę polską 25 lat temu, że właśnie carat po klęsce, zadanej mu przez Japonję i po rewolucji, poszedł na ustępstwa, ale właśnie dzięki powszechnemu strajkowi szkolnemu, dzięki odruhowi młodzieży, która kategorycznie szkoły polskiej zażądała... Tak mniej więcej sformułował ważność i celową wartość masowego sprzeciwu młodzieży polskiej p. Melchior Wańkowicz, który piękną prelekcją poprzedził wznowione przez Teatr Narodowy przedstawienie „Młodego Lasu” Hertza. Wezwał p. Wańkowicz widzów, żeby sobie uprzytomnili ową chwilę, jakgdyby przygotowawczą, po której za lat niespełna dziesięć przyszła „konjunktura” — wojny światowej, przyszła nowa i ostateczna próba sił.

Rocznicę tego faktu, jedyne może w dziejach narodów, walczących o swoją wolność kulturalną, święcimy jednak dziś w niepodległej już ojczyźnie — czynem: całe społeczeństwo musi uczestniczyć w zebraniu funduszu na tworzenie szkół polskich zagranicą, aby zapobiec wynarodowieniu, grożącemu polakom, mieszkającym bądź to stale zagranicą, bądź też zdążającym tłumną falą emigracji na zarobki.

Napewno żadne odezwy nie mogłyby się tak przysłużyć akcji Komitetu Obchodu, jak właśnie „Młody Las”, rekonstruujący szkołę rosyjską i ówczesną młodzież polską. Realizm tej sztuki, jej żywe tętno, jej prawda uczuciowa — porywa. Tak właśnie było, że rzeczywistość wydarzeń miała już sama w sobie dramatyczną dynamikę. Więc też za tem poszło, że w relacji autora największą zaletą jest właśnie bezpośredniość.

Postępujące po sobie akty — to rozwijający się i narastający bieg wydarzeń. One to szły naprzód szybkim rytmem, bodajże skrótem akcji. Odrzucano kompromis, stwarzając sobie same konflikty dramatyczne. Bo istotnym konfliktem dramatycznym nie było zagadnienie: młodzież i szkoła — ale przede wszystkim: — młodzież i dom. Autor doskonale zobrazował to ściszone i zrezygnowane środowisko domowe, owych zjadaczy chleba, których nie łatwo już było w aniołów przerobić.

Podniecający nastrój obrazów ensamblowych, wzruszające sceny (lekcja francuskiego), unikanie szowinizmu przez różnicowanie typów rośjan (nauczyciel Sirotkin) — nadają sztuce Hertza ton szlachetny, pozbawiony mściwości i zacietrzewienia. Reżyserja Bednarczyka, akcentując idealizm i górne porywy ówczesnej młodzieży, potwierdziła tylko prawdę historycznej chwili. Aktorzy, w liczbie chyba pół setki, grali świetnie, a publiczność reagowała manifestacyjnie, oklaskując grę artystów, sceny, sytuacje, powiedzenia i autora.

TEATR „JASKÓŁKA“.

„Powrót posła” — komedia w trzech aktach Juljana Ursyna Niemcewicza. Oprawa sceniczna Jana Golusa. Reżyserja Haliny Starskiej. Słowo wstępne wypowiedziała p. Janina Strzelecka.

Teatr „Jaskółka”, rozwijający się tak pięknie pod egidą Wydziału Kultury i Piękna w Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, rozpoczął nowy sezon w Pomarańczarni — teatrze stanisławowskim w Łazienkach. W stylowym teatrze zagrano stylową sztukę: „Powrót posła”. Zespół „Jaskółki” potrafił, doprawdy, szczęśliwie uniknąć patosu i sztywności. Dawne słowa brzmiały czysto i starannie, a tendencje, dziś już nieprzystosowane, bawily, nito pamięteczka rodzinna. I tak właśnie, jak pamiętka rodzinna, wydawały się trochę rzewne, a trochę śmieszne.

Młodzi aktorzy mieli, oczywiście, tremę, ale i to było poniekąd w stylu. Królowała, rzecz prosta, Solska, która z roli starościny zrobiła „bijou”. Jej słóweczka, gesty, szczebioty, wesechnienia i spazmy były niezrównane. Sam król-jegomość miałby z tego uciechę, choć mu w tej sztuce nie wszystko było do smaku, a p. Juljan Ursyn niejedną uraczył szpileczką wrażliwe serce monarsze.

Opiekunka „Jaskółki”, p. Janina Strzelecka, jako kierowniczka Wydziału Kultury i Piękna w Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, przemówiła do premierowej publiczności o celach i zamiarach tego miłego teatru, który grywa dla maluczkich i spełnia, w miarę swoich sił, dobrą służbę. Muszę tu bodaj kilku słowami wyrazić mój podziw dla talentu oratorskiego p. Strzeleckiej. Treść i forma jej przemówienia, dykcja i akcentowanie — pierwszorzędnne. A przytem — świetna aparycja!

Herminja Naglerowa.

O UCZCIWOŚĆ I GODNOŚĆ OBYWATELSKĄ

Od paru tygodni weszliśmy w okres prac przedwyborczych i, co za tem idzie, agitacji przedwyborczej.

Agitacja ta jest zjawiskiem normalnem, które zawsze i wszędzie istnieje. U nas jednak zjawisko to wytworzyło drugie: niesłychane podniecenie temperatury społecznej, idące od nienawiści do szaleństwa. Skutki tego podniecenia są tak groźne, że jeśli tak dalej pójdzieby miało, to może zaważyć się cała, pracowicie wzniesiona i krwawemi okupiona ofiarami, budowa państwowa.

Wiemy wszyscy, czem jest dla Polski Ten, który pierwszy zaczął walkę o jej niepodległość, który walkę tę latami w ofiarnym i nieustającym trudzie prowadził zwycięsko z licznymi zewnętrznymi wrogami polskiej niepodległości i państwowości, który potem, stanąwszy na czele rządu, dążył do wytworzenia w Polsce zgodnej akcji wielkiej pracy wszystkich nad rozwojem i pomyślnością państwa.

Zasługi Marszałka Piłsudskiego są tak wielkie, jego praca dla Polski tak ciągle żywa i potężna, że, zdawałoby się, tylko szacunek i wdzięczność wywołać one mogą u polaków. Niestety! nienawiść, zacietrzewienie partyjne rozrosło się w Polsce do tego stopnia, że, jak dowiadujemy się ze zgrozą, wykryto zamach na tego Wodza Polski.

Zamach, na szczęście, udaremniono w porę, ale niema dość silnych wyrazów na potępienie tego rodzaju zbrodniczych i szaleńczych planów.

Psychoza partyjna szerzy się z zastraszającą szybkością, weiska się nawet do domu rodzinnego, bo oto w Sosnowcu mąż strzela do żony, rani ją ciężko i sam odbiera sobie życie, powodem — różnica przekonań politycznych.

W Częstochowie działacz partyjny wpada z brauningiem na posiedzenie Kasy Chorych, zabija inspektora i komisarza kasy, kandydatów na posłów, swoich przeciwników politycznych, wreszcie zabija się sam. Są to rzeczy potworne i jeśli nie będziemy przeciwdziałali tej strasznej zarazie, zginiemy.

W tej ciężkiej i groźnej chwili do ratunku stanąć muszą kobiety polskie. Do nich należy łagodzenie nienawiści politycznego fanatyzmu. One powinny wpoić w swych najbliższych, rodzinę, towarzyszy pracy, przekonanie, że między obywatelami jednej Ojczyzny mogą być różnice zdań, mogą być spory, mogą być różne drogi działania, ale, pod grozą zraty, pod grozą pohańbienia Polski, nienawiść nie może być źródłem akcji politycznej, a morderstwo jej orężem.

To trzeba sobie uświadomić, to postawić jako naczelną hasło działalności teraz, przed wyborami i później na całą przyszłość twórczej pracy dla dobra narodu i państwa.

Oto dzisiejsze, najważniejsze dla kobiet zadanie.

Kobieta w świecie i w domu.

W NAJŻYWOTNIEJSZEJ SPRAWIE.

Trzy dni obradował w Warszawie Ósmy, Międzynarodowy Kongres walki handlem żywym towarem. Program zjazdu obejmował najżywotniejsze zagadnienia walki z tą ohydą cywilizacji, jak akcja przeciw sutenerom, repatrjacja dziewcząt, wywiezionych z kraju, sprawa angażowania kobiet zagranicę i opieka nad podróżującymi; handel kobietami i dziećmi w kolonjach, zagadnienie kinematografu, jako czynnika, uświadamiającego szerokie masy o niebezpieczeństwach, grożących kobietom od handlarzy.

Kongres odbył się pod przewodnictwem najwyższych czynników w państwie, przy udziale przedstawicieli rządu, dyplomacji, władz miejskich, ciał naukowych, delegatów organizacji społecznych i delegatów 53-ech krajów.

W trakcie obrad kładziono główny nacisk na środki ratowania kobiet już upadłych. Zamało stanowczo zwrócono uwagi na sprawę, którą podkreśliła w „Kurjerze Porannym“ znana działaczka, p. Ceysingerówna: wychowania tak *mężczyzny*, „aby to, co moralne, stało się dlań możliwe, a to, co niemoralne, nie było konieczne“. Oto jest psychologicznie i społecznie najgłębsze i najmoralniejsze ujęcie tej sprawy, wyróżniające się wpośród wielu głosów naszej prasy.

NIE ODCZUWAJĄ NIERÓWNOŚCI PŁAC.

Ładne i zgrabne są ulubione w Anglii „Albertins girls“, występujące w Victoria Palace, ale też zarabiają nienajgorzej swemi tanecznymi produkcjami. Pensja każdej z nich wynosi rocznie 21 tysięcy funtów szterlingów!



Najzgrabniejsze nóżki.



Każdy może puścić samolot w obłoki.

NAJMODNIEJSZY SPORT.

Puszczanie maleńkich modeli samolotów entuzjazmuje angielski. Może każda z pań wyobraża sobie, że polecą kiedyś przez morze, jak ukochana sława narodowa Amy Johnson! Tymczasem puszcza model. Sport ten podoba się dzieciom, bawiącym się nim nie gorzej od dorosłych.

DOKĄD TAK BĘDZIE?

Biuletyn ostatniej Sesji Ligi Narodów wymienia następujące nazwiska kobiet, delegatek poszczególnych krajów.

Anglja: przewodnicząca partji Pracy Miss Zuzanna Lawrence, i Miss Mary Hamilton, delegatki *zastępczyni*; Australia: Miss May Holman, *zastępczyni*, Belgja: panna Féron, *attachée*; Danja: pani Henryka Forchhammer, *zastępczyni*; Finlandja: p. Tilma Hainaro, *zastępczyni*; Holandja: pani Kluywer, *doradczyni techniczna*; Kanada: Mrs Mary Parlbj, *minister bez teki, delegatka*; Litwa: pani Czurlanisowa, *delegatka*; Niemcy: pani Lang - Bruman, *zastępczyni*; Norwegja: p. dr. Ingeborga Aaas *zastępczyni*; Persja: pani Hakimi, *attachée*; Rumunja: pani Helena Vacaresco, *zastępczyni*; Szwecja: senatorka p. Kerstin Hesselgren, *doradczyni techniczna*; Węgry: hr. Apponyi, *zastępczyni*. Jak widzimy, od zeszłego roku nie wiele się zmieniło, do pani Czurlanisowej przybyła jedynie pani Parlbj, są to dwie delegatki pełnomocne. Inne bowiem, jako *zastępczyni*, nie mają prawa głosu w decyzji. Nawet pani Lawrence, która u siebie w kraju przewodniczy jednemu z największych stronnictw politycznych w świecie, ma na terenie Ligi prawo działania tylko wtedy, gdy delegat-mężczyzna, którego zastępuje, jest nieobecny! Z Polski niema w delegacji ani jednej kobiety.

A że kobiety umieją w Lidze pracować, najlepszy dowód, iż hr. Apponyi przewodniczyła *zastępczo* jednemu zebraniu Ligi, była więc w ten sposób *wiceprzewodniczącą* tej instytucji.

WOLEĆ BIEDE, NIŻ SŁUŻBĘ.

Angielskie pisma kobiece podnoszą znamieny fakt: coraz większy brak służby domowej. Objaw ten jest tem dziwniejszy, że w tej chwili jest w Anglii 521 tysięcy zarejestrowanych bezrobotnych kobiet. Sprawa tego kobiecego bezrobocia, jak zresztą i męskiego, stanowi jedno z najpoważniejszych zagadnień społecznych, ciągle omawianych w prasie. Gdy jednak bezrobotne-

mu mężczyźnie trudniej jest znaleźć pracę w służbie domowej, gdyż lokaje, kucharze i t. p. są mniej licznie żądani, wyłącznie do domów najzamożniejszych, to kobiet, służących „do wszystkiego” wszędzie potrzeba. Warunki zaś służącej, nawet w mniejszych, średnio zamożnych gospodarstwach, są bardzo dodatnie. Miły, oddzielny pokój, przyzwoite życie i pensja, kilka godzin dziennie swobodnych; zajęcia domowe przy ogólnej elektryfikacji i centralnem ogrzewaniu nie uciążliwe. Nic nie pomoże: służby brak. Młode dziewczęta-robotnice woła oczekiwać bezczynnie wznowienia pracy w fabrykach, niż godzić się, jako służące: uważają takie stanowisko za poniżające.

Przyczynia się do tego zapewne w dużym stopniu fakt, że zapomogi dla bezrobotnych w Anglii są bardzo wysokie: 2 funty (96 zł.) tygodniowo. Wytwarza się z tego błędne koło: rząd ugina się pod ciężarem milionów zapomóg dla bezrobotnych, tych zaś nie można skłonić do emigracji, lub pracy na miejscu, nieodpowiadającej ich upodobaniom.

PODRÓŻNICZKA.

Jedyną kobietą, która przebyła Atlantyk na Zeppelinie, jest angielfka, lady Drummond Hay. Jest to zapalona podróżniczka, która bawi obecnie w Tokio, gdzie fotograf zjął ją na ukwieconym tarasie wielkiego hotelu „Imperial”.



Lady Drummond Hay.

TA KOBIETA SŁYSZY, JAK TRAWA ROŚNIE.

Jak to przewidywaliśmy przed kilku miesiącami na tem miejscu, sądy francuskie uwolniły Martę Hanau od wszelkiej odpowiedzialności.

Znakomita finansistka, która z taką energją wystąpiła przeciwko syndykatom wielkich banków, zarabiających miliony na oszczędnościach drobnych kapitalistów, rozpoczęła na nowo swoją akcję, dla której przeszła tyle ciężkich chwil. Na miejsce zamkniętej „Gazette du Franc et des Nations” otworzyła pani Hanau nowe pismo: „Forces”. I odrazu zaczęły się sensacyjne rewelacje. Okazało się, że na pożyczkę Younga wpłacili już drobni kapitaliści półtrzecia miljarda franków, z czego wielkie banki zarobiły odrazu 88 milionów franków. Pozatem obligacje są warte o wiele mniej, gdyż giełdy europejskie nie chcą ich płacić po kursie; różnica z owego półtrzecia miljarda wynosi 500 milionów franków! Zawinił tu więc i rząd francuski, stawiając na obligacje zbyt wysoki kurs.

W dodatku Marta Hanau zaznacza, że wogóle lokata w obligacjach jest niepewna, gdyż nie wiadomo zupełnie, co się stanie w Niemczech. Cała ta sytuacja zabagniona jest głównie przez wpływy wielkich banków, dla których najżywoniejszą sprawą jest zbieranie, zbieranie i zbieranie jakąbądź drogą olbrzymich sum, aby płacić za nie od 1/2 do 1 1/2 procent ich właścicielom, inkasując na własną korzyść olbrzymie potrącenia i procenty. To też Marta Hanau woła: każdy bank, dający tak śmiesznie niski procent, szkodzi oszczędności społeczeństwa! -- I ma rację.

Drobni kapitaliści garną się znów tłumnie pod skrzydła swej opiekunki; ze strony wielkich syndykatów bankowych, a nawet rządu, zaatakowanego za conajmniej niezbyt pomyślnie postawienie sprawy obligacji Younga, panuje „zakłopotane milczenie”.

Z tą genialną kobietą, operującą z łatwością najzawilszemi dylematami finansowemi, walka jest bardzo trudna.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Dwudziestopięciolecie walki o szkołę polską odbiło się szerokim echem w społeczeństwie. Liczne obchody, zjazdy, złączyły nanowo dawnych kolegów i koleżanki, ówczesne bohaterkie dzieci, dziś już obywatele, stojących niejednokrotnie na wybitnych stanowiskach. Artykuły, specjalne wydawnictwa, wszystko to żywo uprzytomniło nam te czasy zmagania, tak dziś już szczęśliwie minionych.

Zawiązany specjalny Komitet obchodu dwudziestopięcioletnia zorganizował sprężyste całą akcję. Obok uroczystości i obchodów, gromadzono, drogą groszowych składek, fundusze, które, po rozwiązaniu się komitetu, obrócone zostaną na podtrzymanie szkół polskich zagranicą. Jest to sprawa niezmiernie ważna, z punktu widzenia zarówno wzmacniania polskości wśród Polaków, przebywających zagranicą, jak i ze względu na nasz prestige narodowy i państwowy.

Kulminacyjnym punktem tego jubileuszowego roku szkoły polskiej będzie Zjazd, rozpoczynający się w bieżącym tygodniu. Obrady w Filharmonji i w Politechnice, pochody szkół, akademje i uroczystości w teatrach i salach reprezentacyjnych wypełniają program Zjazdu.

SZTUKA ROZMAWIANIA

Pewna, wielce obyta w świecie, angielska lady tak pouczała swą wnuczkę:

— Jeżeli posadzą cię, my dear, przy obiedzie lub kolacji przy gentlemanie, którego widzisz po raz pierwszy, staraj się w rozmowie z nim zahaczać o najróżnorodniejsze tematy, dopóki nie trafisz na taki, który byłby jego konikiem (his hobby). Wtedy pozwól mu dosiąść tego konika i cwałować, gdzie i jak mu się podoba; podniecaj go tylko od czasu do czasu bodźcem zciekawionego pytania. Taki system ma następujące dobre strony: po pierwsze, nie znudzisz się, bo każdy człowiek rozmawia na temat, interesujący go, w sposób znacznie ciekawszy, niż o sprawach obojętnych; powtóre, twój przygodny sąsiad będzie po skończonym obiedzie opowiadał wszem wobec i każdemu z osobna, że jesteś czarująca, a to dobrze robi, nawet kobiecie, która naprawdę jest czarująca.

Wielka mądrość płynie z doświadczonej ust sędziwej lady: sztuka rozmawiania polega w znacznej mierze właśnie na taktownem słuchaniu.

W XVIII wieku żyła niejaka panna Julja Lespinasse. Gdy umarła, nieśmiertelną sławę zdobyły jej listy miłosne, bynajmniej przez autorkę do druku nieprzeznaczone. Za życia, jednak, ta osoba niepozorna, niezamożna, niepierwszej młodości i niezbyt urodziwa, a, co gorsza, z nieślubnego pochodząca łoża — słynną była na cały Paryż ze swej czarującej umiejętności rozmawiania. Tak dalece, że kiedy jej sędziwa opiekunka i przyjaciółka, pani du Deffant, wyrzuciła ją na bruk, przekonawszy się z oburzeniem, że niewdzięczna pupilka „podbiera jej śmietankę rozmowy“ (wtedy umiano podobnych rzeczy zazdrościć) — przyjaciele i wielbiciele dowcipu panny Julji złożyli się, aby jej umożliwić prowadzenie własnego salonu, gdzieby mogła nadal czarować wybranych nieporównanym wdziękiem swej konwersacji.

Otóż, według relacyj współczesnych, urok rozmowy z panną Lespinasse w znacznie mniejszej mierze polegał na jej osobistym dowcipie i błyskotliwości, niż na darze skupionego i inteligentnego słuchania.

— Elle donnait de l'esprit aux autres (obdarzała innych dowcipem) — pisze w swych pamiętnikach jeden z wiernych jej salonu.

Czasy się zmieniły. Dziś nikt nie zgłosiłby pretensji o to, że go pozbawiono „śmietanki kowersacji“. Przeciwnie, każda pani domu wdzięczna jest przyjaciółce, czy krewnej, która ją zechce wyręczyć w nudnym trudzie „bawienia gości“. Bowiem bawić kogoś, znaczy u nas zazwyczaj zanudzać go zdawkowymi frazesami, oraz pytaniami, na które się nie czeka odpowiedzi.

Gospodyni pozwala sobie na westchnienie ulgi dopiero wtedy, kiedy poważniejsi goście zostają bezpiecznie usadowieni przy bridge'u, młodzież tańczy, a garstka nie grających w karty i nie tańczących rozrywa się zabawą, zwaną „flirt kwiatów“. Polega ona na wzajemnem wręczaniu sobie kartek, mówiących tajemniczo:

— Bratek... Niezapominajka... Ha, ha, ha... czosnek!...

Tajemniczość nie na wiele tu się zresztą zdała, boiwni wszyscy uczestnicy gry wiedzą już napamięć, że przy bratku jest komplement: „ślicznaś, moja mała!“ — niezapominajka woła: „ach, jak ja do ciebie

się palę!“ — a czosnek zwykł studzić zapalę, głosząc: „nie z tego, mój panie“.

Ta przesłiczna gra, mogąca wzbudzić szal zachwyty wszystkich pisarzy prowentowych i panien służących z całej kuli ziemskiej, cieszy się również wielkiem powodzeniem w domach, gdzie się podaje kawior i wypija całe morze szlachetnych win, boiwni oszczędza ona ludziom przykrego i jałowego wysiłku: obowiązku rozmawiania. Ludzie współcześni, w ogromnej większości wypadków, nie umieją rozmawiać, bo nie lubią, czy też nie lubią, bo nie umieją — co w rezultacie wychodzi na jedno. A dlatego nie lubią i nie umieją, że coraz mniej mają czasu na myślenie o kwestjach, oderwanych od spraw codziennych, bieżących, czyli na życie umysłowe. Zdawkowe mówienie o tem, że wieczór jest przemiły, domowe panny czarujące, a kolacja przewyborna, może wprawić najodporniejsze szczęki w automatyczny skurek ziewania. Dyskusje polityczne odznaczają się nieraz wielkiem ożywieniem, nawet za wielkiem, zdaniem gospodarzy, którzy przezornie starają się zawczasu rozmowę, wszczętą na tematy polityczne, zvekslować na inne, bezpieczniejsze tory.

W tem mają sporo racji, gdyż polityka była i będzie tematem drażliwym; zdarzają się jednak panie domu, które mają sobie za punkt honoru niedopuszczanie do żadnych dyskusyj, nawet nad zagadnieniami czysto abstrakcyjnymi i pomiędzy ludźmi, znanymi z taktu i spokoju. Są to osoby, uważające każdą ożywioną rozmowę za rodzaj kłótni, której należy wszelkimi sposobami zapobiec. Same, niezdolne do odczuwania przyjemności żywej, zręcznej szermierki słownej, nie mogą zrozumieć rozkoszy, jaką może się stać ciekawa dyskusja dla ludzi, lubiących myśleć, i przerywają ją z zasady w najbardziej interesującym miejscu:

— No, dajcie już spokój, już się więcej nie kłóćcie! Spójrzcie lepiej, jak przesłicznie wygląda Lala w tej różowej sukience.

Tak postępujące osoby są przekonane, że dają właśnie przykład niezwykłego wyrobienia towarzyskiego i iście machiawelistycznych zdolności dyplomatycznych; nie podejrzewają nawet przez chwilę, jak bardzo są irytujące.

Jeżeli chodzi o przerywanie naprawdę niebezpiecznej dyskusji, grożącej przeniesieniem się na grunt osobisty, pamiętać należy, że zaciekrzewionych oponentów nie jest w stanie ułagodzić pochwała, nawet dotycząca osoby, blisko ich obchodzącej. Terenem, na którym spotykają się zgodnie najbardziej poważnione strony, jest, niestety — obmowa. Smutne to, ale prawdziwe. Rozkosz bezkarnego mówienia złośliwości o osobie nieobecnej przewyższa przyjemność prawienia umiarkowanych impertynencyj obecnemu przeciwnikowi.

Nieraz zdarzało mi się słyszeć, jak podczas bardzo zaognionej dyskusji pani domu robiła luźną, odbiegającą od tematu uwagę, że np. pani X. jest bardzo piękna. Uwaga taka przebrzmiałaby bez echa, gdyby któraś z obecnych osób nie dodała nagle, że słyszała, iż pani X. zawdzięcza swą cudną cerę temu, że sypia co noc z twardzą, obłożoną plastrami surowej cielęciny.

Podobne przypuszczenia budzą zazwyczaj tak wielkie zainteresowanie, że najzacieklejsi przeciwnicy przerywają dyskusję i zaczynają na wypródki rozmyślać nad tem, co się potem robi z tą cielęciną? Czy dostaje ją na obiad pies? Czy też może mąż? I jak to się wygląda w takiej masce z surowego mięsa?

I coby to było, gdyby pani X zapomniała o cielęcinie na twarzy i przyjęła w łóżku jakąś ranną wizytę, czy interesanta? i t. d.... i t. d.... i t. d....

Tematu starcza do końca wieczora, ożywienie nie gaśnie ani na chwilę. Goście rozchodzą się późno, dziękując za przemile spędzony wieczór z większym, niż kiedykolwiek, wylaniem. Wszyscy zdają się być wzajemnie usposobieni jaknajserdeczniej; poprzednio wyrażona różnica przekonań zdaje się być doszczętnie zapomniana. Najciekawsze, w takim cudownym pogodzeniu poważnionych, kosztem osoby nieobecnej, bywa to, że taka pani X., osoba rzeczywiście bardzo piękna, jest w tem towarzystwie bardzo mało znana i nikt z obecnych nie żywi do niej urazy osobistej. Istnieje więc najczystsza rozkosz obgadywania bliźnich, nie zatruta żadnymi ubocznymi względami.

Jednakże obgadywanie nieobecnych, mimo bezcennych zalet pojednawczych, ma tę wielką wadę, że zawsze w towarzystwie może się znaleźć ktoś z przyjaciół osoby, wydanej na całopalną ofiarę. Mniejsza o to, że może jej powtórzyć, bo nie byłaby chyba tak niemądra, aby się podobnemi błahostkami przejmować. Zresztą, dziś my o niej, jutro ona o nas. Ale taki niewczesny Don Kichot (po polsku — Filip z Konopi) może się wyrwać z niewczesną obroną, a wtedy mamy znowu dyskusję, czyli właśnie to, czego pragnęliśmy za wszelką cenę uniknąć. Kobieta, mówiąca źle o innych kobietach, zwłaszcza o przystojnych, zawsze szkodzi sobie samej w oczach obecnych panów. Podobnie, jak literat, odzywający się lekceważąco o innych ludziach pióra, adwokat o prawnikach, poseł na sejm o przeciwnikach politycznych, etc... zawsze budzą podejrzenie, że mówią tak przez zazdrość. Podejrzenie tem niebezpieczniejsze, że często — uzasadnione.

Coprawda, tam, gdzie chodzi o ładne kobiety, nasi panowie mają zwyczaj chwalenia ich w sposób naprawdę wyglądający na prowokację, w stylu zupełnie niesalonowym:

— Taka bestyjka apetyczna i ognista, że aż człowieka djabli biorą! Co za spojrzenie! Co za pęciny! Ale pani ona z pewnością się nie podoba, co?...

Trzeba rzeczywiście anielskiej łagodności i imponującego opanowania, żeby móc spokojnie odpowiedzieć:

— Owszem, ta pani podoba mi się bardzo, ale pański sposób mówienia o niej nie podoba mi się wcale.

Wogóle sposób rozmawiania młodych kobiet i młodych mężczyzn, na gruncie towarzyskim, pozostawia u nas bardzo wiele do życzenia. Panie zdają się zgóry wyglądać momentu, w którym wypadnie zgorzyc się lub obrazić, nieraz nawet uprzedzają go, skutkiem zabawnych nieporozumień; panowie znajdują szczególne upodobanie w zgorzonych i oburzonych wykrzyknikach pań. Wszystko to razem znacznie bardziej przypomina nastrój czeladnej, niż salonu, lecz, niestety, raz po raz spotyka się w salonie.

Jest to tem dziwniejsze, że kobieta współczesna, obcuja, na najrozmaitszych terenach, z mężczyznami, powinny umieć się zdobyć na ton właściwy. I przeważnie odnajduje go wszędzie, tylko nie na gruncie towarzyskim. Nieraz miły towarzysz pracy — w salonie staje się zmanierowaną osóbką, równocześnie godną i zalęknioną, przytem zawsze obrażoną na zapas.

(dok. nast.).

Jadwiga Kiewnarska.

HODOWLA ZWIERZĄT FUTERKOWYCH

I.

OWCA BUCHARSKA — CZYLI KARAKUŁOWA

Jedną z najłatwiejszych i najbardziej dochodowych jest hodowla owiec karakułowych.

Przedwojenna Rosja miała monopol na tę gałąź produkcji i zazdrośnie go strzegła, doskonale orjentując się w zyskach, jakie daje hodowla owiec karakułowych. Żywe sztuki przepuszczano przez granicę tylko w wyjątkowych wypadkach.

Gdy nawet ktoś uzyskał pozwolenie na wywóz żywych owiec, to czekała go jeszcze długa i męcząca podróż do Buchary, kraju sartów. Sartowie, plemię pół dzikie, również bardzo niechętnie sprzedawali materiał rozplodowy i jeśli nawet decydowali się wziąć pieniądze, to i tak kupujący rzadko kiedy owce otrzymywał.

Jak zawsze, tak i w tym wypadku, znaleźli się jednak ludzie dobrej woli, którzy przewyciężyli wszystkie trudności i potrafili sprowadzić pewną ilość sztuk zarodowych.

Dziś posiadamy w kraju kilka, a może i więcej hodowli, mogących dostarczyć materiału rozplodowego, który może się stać podwaliną nowej gałęzi produkcji i bogactwa naszego kraju.

Znam następujące hodowle: w Snopkowie w Lubelskiem — p. K. Piaszczyńskiego; w Walewicach pod Łodzią — p. Grabińskiego; w Zalesiu pod Krakowem — p. prof. Marchlewskiego.

Owce karakułowe aklimatyzują się u nas doskonale; są bardzo wytrzymałe i odporne na wszelkie choroby. Zadowolniają się paszą o wiele gorszą, niż owce, hodowane na wełnę. Znoszą zarówno gorąco, jak i silne mrozy, nie wymagają tem samem żadnych kosztownych budynków na pomieszczenie.

Warunki bytowania, jakie miały owce w Rosji, musiały taki właśnie materiał wytworzyć.

Trudno sobie bowiem wyobrazić, jak lichą egzystencję wiodły owce w stepach Buchary.

Wiosna tam trwa od marca do maja i tylko w tym czasie posiadają zwierzęta dobre pożywienie w postaci soczystej trawy. Później słońce trawę wypala i staje się ona wyschniętą, nieskoszoną siemem.

Latem jeszcze pół biedy, bo trawa, choć zeschnięta, dostarcza pożywienia w dostatecznej ilości. Gdy jednak przychodzi zima ze straszniemi mrozami i grubą warstwą śniegu, owce są skazane na wygrzebywanie pożywienia z pod śniegu. Czasem bywa to niemożliwe z powodu warstwy lodu, która śnieg pokrywa. Wówczas owce tysiącami padają z głodu. Tysiące ofiar pochłaniają burze śnieżne, które w tamtych stronach są częstym zjawiskiem; owce wtedy rozbiegają się w panicznym strachu i śnieg je zasypuje.

Dopiero w ostatnich latach przed wojną rząd rosyjski zrobił tyle, że sartowie z obwodu Karakuł zaczęli się starać o zapas karmy na zimę, gromadząc zapasy suchego siana i dając trykom po odrobinie siemienia słonecznikowego.

Nic jednak nie było w stanie przeciwstawić się niechęci sartów do trzymania owiec pod najlichszym bodaj dachem. To też burze podawnemu czynią wielkie spustoszenia.

Naturalnie, że takie warunki musiały wpłynąć na wytworzenie niesłychanej wprost odporności organizmu, a co za tem idzie, wielkiej łatwości aklimatyzowania w lepszych warunkach.

U nas owca karakułowa czuje się dobrze i możemy ją hodować wszędzie, za wyjątkiem okolic specjalnie mokrych i błotnistych.

Zwłaszcza dziś, gdy zniszczona Rosja nie może dostarczać tej ilości skór, co przed wojną, mamy doskonałe warunki opłacalności tej hodowli.

Owce te należą do rodziny tłustoogoniastych i wywodzą się od dzikiej owcy („Ovis Arcał”), która żyje w dzikim stanie w Malej Azji.

Jest to owca duża — baran ma w kłębie do 85 cm., a maciora do 70 cm. Przeciętna waga dla barana — 70 do 80 kg., a dla owcy — 50 do 60 kg. Nowonarodzone jagnię waży przeciętnie 4 do 6 kg.

Cała postać wydłużona, zgrabna, z silnymi muskulami. Maciory mają głowę wydłużoną — tryki krótszą i szerszą, ozdobioną długimi rogami, spiralnie zakręconymi.

Owce mają kości nosowe silnie wypukłe, uszy wielkie, obwisłe, o skórze cienkiej i elastycznej, porośniętej czarnym, lśniącym włosiem. Oko duże, żywe. Szyja długa i zgrabna, kłęb ostry, tułów długi. Zad silniej rozwinięty, niż przód, nogi długie, suche.

Dolne części nóg do kolan, oraz sam pyszczyk porośnięte krótkim, lśniącym włosiem, który nigdy barwy nie zmienia. Z tych to części robi się futra, noszące nazwę „łapek karakułowych”. Ciekawym zjawiskiem natury jest fakt gromadzenia się wielkiej ilości tłuszczu u nasady ogona. Natura stworzyła z ogona tej owcy jakgdyby spiżarnię, z której organizm czerpie pożywienie w chwilach głodu. Tłuszcz ten pozwala jej przebyć miejscową zimę, podczas której pozbawiona jest dostatecznej żywności. Ogon, porośnięty z wierzchu krótką wełną, od spodu jest nagi. Ilość tłuszczu w ogonie sięga 7 kg.

Celem hodowli owiec karakułowych są skórki na futra, jakich dostarczają jagnięta, zabite w kilka dni po urodzeniu. Są wtedy zupełnie czarne, włos ma silny połysk i jest skręcony w loki, ułożone w deseń, przypominający kształtem napół rozkwitniętą różę. Stąd asyryjska nazwa tego gatunku owiec: „Czarna róża”.

W miarę wzrostu jagnięcia, włos się rozkręca i zmienia barwę na coraz to jaśniejszą, tracąc zupełnie połysk. Skóra owcy przybiera kolejno barwę coraz bardziej popielatą, a w końcu białą; w międzyczasie, skutkiem operacji słonecznej, włos płowieje i staje się koloru bardzo mlecznej kawy.

Płodność tych owiec jest bardzo dobra; częściej, niż nasze rodzime owce, odrzucają bliźnięta. Oznaczają się wielką troskliwością o swoje potomstwo.

Ponieważ na skórki zabijamy kilkudniowe jagnięta, przeto cała ilość mleka zostaje do dyspozycji. Można by, równolegle z hodowlą owiec, zająć się wyrobem owczego sera, na który jest duży popyt i dobre ceny. Mleczność owcy karakułowej jest średnia, ale przeważnie można liczyć na jakie 120 litrów mleka w ciągu okresu laktacyjnego. Mleko to jest bardzo smaczne i pożywne, zawiera bowiem 6 do 8 proc. tłuszczu.

Wełna ze starej owcy jest gruba, szorstka i wogóle posledniego gatunku; ilość jej w dwóch strzyżach sięga 3 i pół kg.

Na t. zw. futra karakułowe nie opłaca się bić jagniąt z gorszym włosiem i wzorem, czyli w kilka dni

po urodzeniu. Gdy wzór zwojów nas nie zadowalnia, lepiej odczekać 7—8 miesięcy i dopiero zabić, a otrzymamy śliczną skórkę kozuszkową plus 14—18 kg. mięsa w wysokim gatunku i wyborowym smaku, oraz do 4 kg. tłuszczu z ogona.

Całą tajemnicą i sztuką produkcji skórek jest odpowiednia selekcja materiału rozplodowego.

Hodowca powinien pamiętać, iż celem jego jest produkcja skórek z nowonarodzonych jagniąt, musi też usilnie się starać o produkcję możliwie jednolitego materiału.

Wartościową skórkę powinien pokrywać jeden i ten sam deseń, na możliwie największej przestrzeni. Loki muszą być ściśle, szorstkie a elastyczne, z silnym połyskiem, mieniącym się w słońcu. Trzeba sobie wybrać pewien wzór, stosownie do wymogów rynku, i przez umiejętne dobieranie sztuk rozplodowych dążyć do tego, aby produkować skórki, możliwie najwięcej do tego wzoru zbliżone. Jagnięta o najbardziej charakterystycznych wzorach przeznaczać na mateczniki. Jeżeli będziemy prowadzić starannie taką selekcję, to po pewnym czasie napewno osiągniemy upragniony cel.

Jest to praca zmusna, wymagająca dużej dokładności i rozłożona na całe lata, ale dająca duże zadowolenie i to nie tylko czysto sportowe, ale i finansowe; hodowla zaś owiec bucharskich jest znacznie łatwiejsza, niż owiec ras cienkowłnistych: są one odporniejsze na choroby, nie wymagają ciepłych budynków i zadowolają się lichą (byle nie zepsutą) karmą.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

OSTATNIE ROBOTY JESIENNE W OGRODZIE WARZYWNYM

Koniec października i listopad — to czas, który powinno się wyzyskać na przygotowanie naszego ogrodu warzywnego do pracy na rok przyszły, gdyż dobry plon warzyw zależy w dużej mierze od tego, w jakim stanie pozostawimy ogród na zimę, jak przygotowujemy rolę do spoczynku zimowego.

Całość naszej pracy, zarówno w dużym ogrodzie (handlowym), jak i w małym ogródku, uprawianym na własny użytek, podzielimy na 3 główne czynności.

- 1 — przygotowanie roślin trwałych do spoczynku zimowego;
- 2 — oczyszczenie ogrodu z chwastów i śmieci;
- 3 — przygotowanie roli.

Wśród warzyw mamy pewną grupę roślin, które zimuja w gruncie, musimy je więc do tego przygotować.

Przedewszystkiem pomyślimy o szparagach, których poźółkłe łęciny usuwa się, ścinając je na wysokości 10—12 cm. nad ziemią i wynosi ze szparagarni, a następnie pali. Palimy je dlatego, by zniszczyć zarodki rdzy szparagowej (czarne plamy na przysychających łęcinach), a także poczwarki muchy szparagowej, które na zimę ukryły się wewnątrz łęcin; szparagarnię zaś samą dokładnie oczyszczamy z zielska. Aczkolwiek w naszym klimacie nie potrzeba nakrywać szparagów na zimę, można jednak na jesieni rzucić między karpami przetrawiony obornik (np.

z pod inspektów) lub kompost, który zostanie zmieszany z ziemią przez motykowanie wiosenne. Można go też przykopać zaraz na jesieni widłami amerykańskimi.

Rabarbarum i truskawki też oczyszczamy dokładnie z zielska, rozrzucamy kompost, lub przetrawiony obornik, który przekopujemy zaraz, bądź też pozostawiamy do wiosny.

Na zagonkach z rozspanką i endywią nie zapomnijmy postawić pustych skrzyń inspektowych, aby je móc w razie większych przymrozków nakrywać oknami i matami. Trzeba też czemkolwiek (liśćmi, łęciami z kartofli, słomą) obłożyć boki skrzyni, a będziemy mieli dobrą świeżą sałatę do wielkich mrozów.

Pietruszkę, którą pozostawiliśmy na zimę w gruncie — zwłaszcza pietruszkę cukrową, która jest mniej wytrzymała na mrozy — dobrze jest przykryć trochę po zmarznięciu ziemi liśćmi, a jeszcze lepiej — igliwem lub gałązkami jałowca, co w części ochroni ją także od myszy i nornic, które są na nią bardzo łakome.

Pozostały ogród, gdzie rosły warzywa już zebrane i schowane, a gdzie pozostało dużo resztek poźniwnych — tam liście po buraczkach i marchwi, owdzie głąby kapuściane i kalafjorowe, a nawet całe suche krzaki pomidorów — musimy właśnie z tych „śmięci“ uprzątnąć. Zgrabimy je na jedno miejsce w końcu ogrodu, dorzucimy powyrywane zielsko — będzie z tego wymieniony kompost, a przy tem zniszczymy szkodniki, które chętnie przechowują się przez zimę właśnie w tych resztkach, porozrzucanych po ogrodzie. Głąby kapuściane i kalafjorowe po wysuszeniu najlepiej jest spalić.

Tyczki, na których pięła się fasola, a także kołki od pomidorów, oczyścimy z suchych resztek i wyniesiemy do szopy z narzędziami, do komórki na drzewo, lub na strych, by przechować je na rok następny.

Przechowując te napozór mało wartościowe rzeczy, zmniejszamy kolosalnie kosztą produkcji warzyw, gdyż pokrycie wydatku na takie „podpory“ rozkłada się wtedy na lata.

Nie zapomnijmy też przygotować sobie liści na inspekty.

W parku i ogrodzie należy pozgrabiać z trawników opadłe liście i ułożyć je w niezbyt wysoką pyramidę w miejscu, gdzie zakładamy inspekty. Na wiosnę będziemy mieli pod ręką doskonały materiał, który, dodany do świeżego obornika, przedłuży jego fermentację, a więc i wydzielanie ciepła.

Ogród zaś wygląda ładnie i porządkie, uprzątnięty ze śmieci, a wiatry jesienne nie będą roznosiły suchych liści, narzucając je na dróżki i ścieżki.

Pozostaje nam teraz rzecz może najważniejsza: przygotowanie roli, to znaczy, odpowiednie nawiezienie jej i zaoranie.

Warzywnictwo wymaga dobrego nawożenia i dobrej uprawy roli, by warzywa się opłacały, czyli dawały plon, któryby nie tylko pokrył kosztą tej uprawy, ale jeszcze przyniósł zysk — czy to w sensie handlowym przy uprawie na dużą skalę, czy też w ogródku amatorskim, jako doborowy produkt, wystarczający na zapotrzebowanie domu. Musimy więc do uprawy roli przystąpić już na jesieni.

Ponieważ nie wszystkie warzywa wymagają jednakowego nawożenia, podzielimy przestrzeń, przeznaczoną pod uprawę warzyw, na 3 części: jedną, na której uprawiać będziemy na rok przyszły warzywa,

wymagające, dla swego dobrego rozwoju większej ilości świeżego obornika (kapusta, szpinak, ogórki), teraz na jesieni dobrze wygnoimy, dając sporą dawkę, to znaczy pokrywając ziemię dość grubą warstwą nawozu.

Nawozimy zaś dlatego na jesieni, by nawóz mógł się do wiosny jaknajwięcej rozłożyć, gdyż pokarmem dla roślin są właśnie produkty jego rozkładu — zwłaszcza produkty działania bakteryj.

Nawóz rozwieziony powinien być natychmiast rozrzucony i jak najprędzej płytko przyorany lub przykopany, a to dlatego, że, leżąc na powierzchni ziemi, traci dużo części lotnych, które, dostawszy się do ziemi przez przyoranie, dają w przyszłości pokarm roślinom.

Przykrywamy go średnio głęboko, gdyż do normalnego rozkładu wymaga on dostępu powietrza, bo wtedy tylko rozwijają się w nim bakterje i odbywają się pożądane procesy chemiczne.

Głęboko przykryty nawóz nie rozkłada się normalnie, tylko torfieje, i większość pokarmów, któreby wykorzystaly rośliny, idzie na marne. Lepiej jest zatem nawet płycej go przykryć, tak, żeby gdzieś niegdzie sterczały kawałki nawozu, niż przyorać go za głęboko.

Jeżeli nawóz jest słomiasty, radzimy sobie w ten sposób, że za pługiem spychamy grabiami nawóz w bruzdy. Przy kopaniu ręcznym zsuwamy szpadlem nawóz z pod nóg w rowek, utworzony przez szpadel, i przykrywamy go następną skibką.

Pozostała przestrzeń (2/3 naszego ogrodu) zaorzemy także, ale już znacznie głębiej, bez obawy wydobycia na wierzch pewnej ilości ziemi jałowej. Głębokie warstwy ziemi, spulchnione przez taką orkę, stają się dostępne dla korzeni roślin; przez zimę powrócą do prawidłowego swego związku z podglebiem i będą mogły czerpać z niego wodę, podsiakającą z głębszych warstw ziemi. Rolę pozostawiamy w „ostrej skibie“, to znaczy tak, jak wyszła z pod pługa, gdyż w takim razie bardziej ulega dobroczynnemu działaniu czynników atmosferycznych.

Dzięki działaniu mrozu, „wvrobi się“, to znaczy rozsypie na niewielkie gruzelki, które nadadzą jej stan pulchny, przewiewny, właśnie taki, jaki jest potrzebny przy uprawie roślin.

Jesienne zaś deszcze i niewywianw z pomiędzy skib śnieg — zaopatrzą glebę w tak niezbędną dla roślin wodę, na którą warzywa są bardzo czułe.

Jeżeli robotę wykonujemy ręcznie, staramy się kopać dość grubymi szyćkami i nie zagrabiamy ziemi.

Wskazane jest tu użycie widel amerykańskich, przy których pomocy możemy doskonale wybrać z ziemi rozłogi perzu — tego uprzykrzonego w ogrodnictwie chwastu.

Ostatniem zajęciem w ogrodzie będzie opatrzenie narzędzi na zimę.

Narzędzia, pozostawione przez zimę brudne, oblepione ziemią, rdzewieją, a przejezdzone przez rdzę, niszczą się o wiele prędzej.

Trzeba je więc dokładnie obmyć, osuszyć i wysmarować oliwą maszynową, która zabezpieczy je od wilgoci, a więc i od rdzewienia, a następnie przenieść do szopy, lub na strych.

Dobrze i oszczędnie przechowywane narzędzia też obniżą znacznie kosztą uprawy warzyw.

Zofja Wróblewska.

PRZECHOWYWANIE ZIEMNIAKÓW

Kopanie ziemniaków dobiega końca — czas pomyśleć o zapasie na zimę. W kraju naszym ziemniaki są podstawą pożywienia, bez różnicy pory roku, bez różnicy zamożności domu, narówni zupełnie z chlebem, bez którego trudno sobie wyobrazić życie codzienne.

Niewiele może dotąd zastanawiały się gospodynie nasze nad przechowaniem przez zimę tego cennego produktu; kupowało się go na targu, niebardzo nawet bacząc na jakość towaru, zsypywało do piwnicy i na tem koniec; a że w czasie zimy wypadło wyrzucić parę koszyków nadgniłych bulw, to była rzecz tak zwykła, że nikt się nad tem głębiej nie zastanawiał. Nie było to nic nadzwyczajnego: rok rocznie pewien procent zawsze odpaść musi — mawiano.

Tak, bezwarunkowo, pewien procent odpadnie zawsze, nawet pomimo umiejętnego obchodzenia się z ziemniakami; chodzi tylko o to, aby ten procent zmniejszył do minimum, aby kieszeń nasza z tego powodu jak najmniej ucierpiała, żebyśmy spokojnie mogli oczekiwać wiosny, bez obawy głodu.

Przedewszystkiem piwnica musi być sucha i przewiewna, to znaczy, powinna mieć okienko, które w dnie cieplejsze będziemy otwierać, gdyż bez wentylacji ziemniaki psują się bardzo szybko. Okienko to musi być zasłonięte jakąś ciemną zasłoną (może być oblepione grubym papierem), żeby nie przepuszczać promieni słonecznych, które wywołują przedwczesne kiełkowanie. Nie wolno składać do piwnicy ziemniaków prosto z pola: muszą one koniecznie poleżeć choć parę godzin na powietrzu, aby obeschnąć.

Mylne jest też zdanie, jakoby ziemniaki można było, bez uszkodzenia, zsypywać z większej wysokości (przez okienko piwniczne). Ziemniak, pomimo swej twardości, jest jednak owocem i, jak każdy owoc, cierpi od uderzenia i od uszkodzonych miejsc psuć się zaczyna.

Psucie się ziemniaka, czyli gnicie, bywa dwójakie: suche i wilgotne. Suche poznać można po plamach na naskórku, pod którymi sam ziemniak robi się sino-brunatny i jakby zmurszały, wskutek czego traci dobry smak; wilgotne — dostrzec się daje na pierwszy rzut oka: ziemniak staje się oślizgły, zamieniając się ostatecznie w cuchnącą masę. Obydwa powyższe rodzaje zepsucia są zaraźliwe, szczególnie dla kłębów, stykających się bezpośrednio z uszkodzonymi.

Składając ziemniaki do piwnicy, należy je szczególnie przejrzeć, aby wszystkie sztuki podejrzone odłożyć do szybszego użytku; o ile zaś są wilgotne, muszą być bezwarunkowo wysuszone, zanim je ułożymy grubą warstwą.

Ziemniaki mogą być układane w wysokie przyzmy (kopy), lepiej jednak, aby nie dotykały do ścian, przy których szybciej kiełkują na wiosnę. W styczniu wskazane jest przełożenie ich na drugie miejsce, tak, aby warstwy, znajdujące się początkowo na spodzie, ułożyć na wierzchu, przeglądając równocześnie, czy niema nadpsutych, które należy natychmiast usunąć.

Najlepszą temperaturą dla ziemniaków będzie około $+5^{\circ}$, bo chociaż marzną one dopiero przy -2° , lecz już pozostawione przez dłuższy czas przy 0° tracą swój właściwy smak, robią się słodkawe. Jeżeli by-

łoby trudno utrzymać powyższą temperaturę, trzeba ziemniaki przykryć jakimś płachtami, matami, a choćby tylko grubą warstwą papieru. W piwnicach miejskich rzadko temperatura spada poniżej 0° ; gdyby to się jednak zdarzyło, możemy pomóc sobie ustawieniem łatwego, prowizorycznego piecyka: parę cegieł z jednej strony, parę z drugiej, połączonych u góry blachą, pod którą stawiamy małą naftową lampkę (może być już Nr. 3 lub 5). Od lampki tej blacha się nagrzewa i doskonale utrzymuje żadaną temperaturę, nawet podczas bardzo silnych mrozów.

Smak ziemniaków, które przez nadmarznięcie stały się słodkawe, można naprawić, jeśli je przez dwa dni potrzymamy w cieplej kuchni, a przed gotowaniem na jakieś 5—6 godzin, obrane, włożymy w wodę, zmieniając ją parę razy.

Ziemniaki, przechowywane w piwnicach w większych ilościach, trzymają się bardzo dobrze, gdy je ułożyć warstwami półmetrowej grubości i każdą taką warstwę przesywać wilgotnym piaskiem i taką warstwą przykryć z wierzchu. O ile piasek wyschnie, trzeba go skropić zapomocą polewaczki z gęstym siemem. Sama sposobu tego nie stosowałam, słyszałam jednak, że tak przechowywane ziemniaki trzymają się doskonale do połowy lata. A. D.



KUCHNIA WŁOSKA

(Dokończenie)

W czasie pięciodniowego pobytu we Włoszech ani razu nie natrafiłam w jadłospisach restauracyjnych, ani przy posiłkach w pensjonatach na tak ukochane przez nasze jadłodajnie i wiele pensjonatów — mięso siekane. Żadnych kotletów, klopsów, ani „rzymskich pieczeń”. Siekane mięso, owszem, jest w użyciu do nadziewanych jarzyn, do pierożków i t. p.; jest to mięso gotowane, przeważnie białe (cielęcina lub kura), a może, czy ja wiem? i królik, zawsze smakowicie przyprawione cebulką i ostrym serem. Mieszanki ryżu z mięsem też nie spotykałam. Nadzwyczaj piękny, bujny i świetnie na sypko ugotowany ryż zawsze był podawany oddzielnie z rozmaitemi, dosyć ostremi sosami.

Mam mocne podejrzenie, że mięso jest pieczone na oliwie, czego smakowo nie mogłam stwierdzić, lecz przy silnym zrumienieniu skórki nigdy nie widziałam przypalenia, tak częstego przy pieczeniu na maśle. W większych starowłoskich restauracjach dotąd pieczone piecze się na rożnie. W starych dzielnicach Rzymu, dokąd dziś rzadko zachodzi cudzoziemiec, widziałam olbrzymie ogniska, nad którymi się obracało jednocześnie kilka ogromnych rożnów z pieczeniami cielęcymi, baraniami, polędwicami i drobiem. Najzabawniej wyglądały rożny z drobnymi ptaszkami, których włosi zjadają ogromną ilość. We wrześniu rynki są literalnie niemi zasypane. Niestety, w żadnym

słowniku nie mogłam znaleźć ich polskiej nazwy! Po włosku zowią się „ucelletti” (wszystkie słowniki tłumaczą to: „ptaszek”). Całe różańce tych ptaszków, przekładane plasterkami słoninki i bułeczki, pieką się na rożnach. Mówię tutaj o restauracjach, przeznaczonych dla klasy zamożniejszej. restauracjach nawet dosyć drogie; lecz widziałam też olbrzymi rozeń w tratorji, której klientelę stanowią robotnicy, przeważnie mularze, pracujący koło remontu pobliskiego Panteonu. Na różnie tym obracał się cały wieprz, bardzo okazały wieprz, tylko bez szynek. Padrone wciąż go starannie smarował szmatką, umaczaną w oliwie, tak, jak czynią to nasze, dobrze znające tradycję, kucharki, z prosięciem, jeżeli chcą, by miało smaczną, chrupiącą skórkę.

Nietylko murarze i inni robotnicy zjadają tę artystycznie upieczoną świnię (maiola): przychodzą panie i służące z talerzykami i zabierają do domu kawałki tego pachnącego rozmarynem pieczystego; spróbowałam go też, zaniósłszy moją porcyjkę do hotelu (tratorja była bardzo brudna i publiczność mniej zachęcająca) — było wyborne.

Rozmarynu używają we Włoszech często dla nadania aromatu mięsnym daniom. Naprzykład, piekąc kurczęta, wkładają w środek gałązkę rozmarynu. Naszego wybornego nadzienia z tartej bułeczki i koperku nie znają wcale. Sztukę mięsa, najczęściej mieszaną jednocześnie z mięs rzeźniczych i drobiu, podają przeważnie z paru gatunkami jarzyn, ale bez sosu. Sałaty zielone, zawsze zaprawione dużą ilością oliwy, podawane są tylko do mięs pieczonych; żadnych przypraw i sosów majonezowych do nich nie używają. Sałata głowiasta jest wyborna, lecz czasem zamiast niej podają endywję zupełnie zieloną i gorzką, jak piołun. Włosi tę gorzyc jedzą i sobie chwają — cudzoziemiec zjeść tego nie jest w stanie.

Jarzyn włosi mają dużo, jednak przeważnie sezonowych. Naprzykład, jesienią wcale niema kalfjorów: jest to jarzyna wiosenna. Szparagi zielone, gorzkawe, ale przyjemne w smaku, są prawie przez cały rok. Nie mogłam ani razu spróbować bulwiastego kopru („finocchi”), tak cenionego przez amatorów: nie był to sezon kopru; karczochów jest wiele gatunków, szczególnie smaczne są drobne, bez kolców, które się zjada w całości. Zupełnie u nas nieznaną jarzyną są malusie, zielone dyńki („zucchetti”), bardzo w smaku delikatne i w najrozmaitszy sposób przyrządzane. Drobne, zielone fasolki, zupełnie młody groszek, u nas tylko latem dobre, są codzienną potrawą jesienną. Pomidory, jadane u nas na sałatę, we Włoszech jada się smażone, nadziewane, ale ani razu nie spotkałam surowych. Świeżne są małe cebulki („cipolletti”) kształtu i koloru, u nas zupełnie nieznanego.

A jak się przyprawia te jarzyny?

Ani mąki, ani cukru, ani żadnej innej przyprawy. Jarzyny się podaje z najświeższym masłem, nawet nie topionym, lub też duszone w oliwie. Jeden i drugi sposób jest dobry, gdyż nie zabija smaku, ani aromatu jarzyn.

Mniej dobre mniemanie wyniosłam o sposobie podawania pomidorów. Już wyżej wspominałam, że nie widziałam ich w całości, a jadłam tylko smażone i duszone całe, krajane i nadziewane; głównie zaś królują one w sosach, i to tak dalece, że nie mogę sobie przypomnieć, abym jadła sos inny, niż pomidorowy.

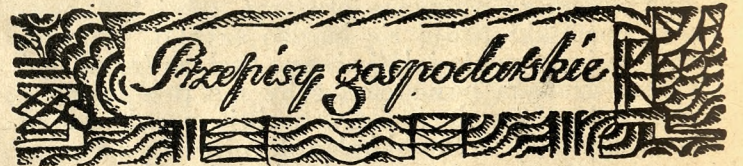
Największe bogactwo Włoch: owoce — aromatyczne melony, olbrzymie arbuzy, puszyste brzoskwini-

nie, soczyste gruszki i winogrona — zjada się przeważnie na surowo. O mało co nie zapomniałam o figach. Jadałam je w Szwajcarji i w Tyrolu i miałam o nich raczej niemiłe wspomnienie, jako o owocu mdłym; dopiero teraz we Włoszech przekonałam się, że dojrzałe figi — tak dojrzałe, że aż nadpęknięte z nadmiaru miodowego soku — są owocem wybornym; szkoda tylko, że wcale przewozić się nie dają.

Włosi mają gust oryginalny: uważają, że najlepsze brzoskwinie są o żółtem, twardem mięsie. Oczywiście, trudno się spierać ze znawcami. Ja jednak wolałam brzoskwinie o białem mięsie, zaróżowionem dokoła pestki i tak soczystym, że gryźć ich nie można, a należy jeść elegancko nożykiem i widelcem.

Nie spotykałam wcale ciastek owocowych, ani naszych szarlotek. Ciasto i ciastka — zresztą wyborne, jak wszystkie słodczyce we Włoszech — są zawsze z rozmaitemi kremami, a owoce jada się tylko na surowo, no i w kompotach. Kompoty te, bardzo słodkie i prawie zupełnie bez syropu, są bardzo smaczne; jednak à la longue — nudzą. Lody, których jest ogromna rozmaitość, nie stanowią dania obiadowego: jada się je w rozmaitych porach dnia — od rana do późnej nocy — lecz zawsze pomiędzy posiłkami.

Pani Elżbieta.



JARZINY NA PARZE.

Czterdzieści deka marchwi, dwadzieścia deka pietruszki, dwadzieścia deka porów, jeden spory seler, trzy cebule cukrowe i sześćdziesiąt deka włoskiej kapusty pokrajac w grube paski. Formę budyniową wysmarować masłem, ułożyć rzędami wszystkie jarzyny, lekko osolić. Położyć na wierzch dziesięć deka masła, podzielonego na kilka części. Formę szczelnie zamknąć i wstawić w rondel z gotującą się wodą, która powinna dochodzić do połowy formy. Gotować godzinę lub więcej, licząc od chwili ponownego zagotowania się wody. Oddzielnie usmażyć kilka naście grzanek z bulki. Jarzyny wyrzucić na półmisek, obłożyć grzaneczkami i gorące wydać.

JAJA W KOSZULKACH W SOSIE POMIDOROWYM.

Na pięć osób wziąć dziesięć jaj świeżych, włożyć w gotującą się wodę (najlepiej jest włożyć jaja z durszlakiem lub w koszyczku, aby się jednakowo ugotowały). Po dwóch minutach wyjąć i włożyć w zimną wodę. Gdy ostygną, ostrożnie porozbijać łupinki i jajka obrać. Białka powinny być mocno ścięte, a żółtka zupełnie miękkie. Zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, nie rumieniąc ich jednak, rozprowadzić zimnym rosołem lub wodą do ilości dwóch szklanek, dodać parę łyżek gęstej konserwy pomidorowej (jeśli konserwa rzadka, należy użyć połowę wody, a połowę konserwy), zagotować razem, dobrze mieszając. Jeżeli bierzemy nie rosół a wodę, należy w niej rozpuścić kawałek suchego buljonu, lub kostkę buljonową; osolić sos do smaku; kto lubi smak ostrzejszy, popieprzyć lekko. Włożyć w ten sos jajka, zagrać mocno, nie gotując więcej, i podać gorące.

KACZKA Z MAKARONEM.

Na średnią kaczkę (wagi około dwóch kilo) należy ugotować dwadzieścia deka grubego makaronu, nie rozgotowując go zanadto. Ugotowany pokrajać w kostkę, wymieszać z dziesięcioma deka przeraśniętej szynki, lub boczku gotowanego, drobno pokrajanego, osolić, lekko popieprzyć, dodać majeranku, wbić całe jajko, doskonale wymieszać i nadziać tem oczyszczoną, osoloną kaczkę. Piec, jak zwykle, polewając narazie łyżką masła, następnie wodą, nakoniec tłuszczem i sosem, który sama kaczka z siebie puści. Gdy upieczona, rozebrać na sześć części (można i na więcej). W środku półmiska ułożyć makaron, dookoła kawałki kaczki; sos uformowany przy pieczeniu, przedłużyć kilku łyżkami wody, zagotować, część wylać na makaron, resztę podać w sosjerce.

KURCZE PO FRANCUSKU (EN COCOTTE).

Formę pasztetową z pokrywką, lub inne dobrze zakryte naczynie ogniotrwałe wyłożyć cienkimi plasterkami słoniny; na to ułożyć jedno bardzo duże, lub dwoje mniejszych kurcząt, oczyszczonych, podzielonych na części i osolonych, przekładając je plasterkami słoniny i kartofelkami, pokrajanymi w paski, jak na domowy makaron. Osolić raz jeszcze, posypać obficie zieloną pietruszką, zamknąć naczynie, brzegi okleić paskiem pergaminu i wstawić na godzinę w średnio gorący piec. Podawać w tem samym naczyniu. Można też tę potrawę udusić na blasze, w takim razie nie okleja się brzegów pokrywy pergaminem, tylko stawia na pokrywie jakiś ciężarek, aby się para możliwie mało ulatniała.

BUŁKI DOMOWE BEZ JAJ.

W trzech szklankach letniego mleka rozpuścić dwa do trzech deka drożdży, dodać cztery łyżki cukru, dziesięć deka masła i trzy szklanki suchej, przesianej mąki. Wybić doskonale, postawić, aby podrosło. Gdy dobrze wyrośnie, dodać drugie tyle mąki, parę kropel olejku cytrynowego lub migdałowego dla zapachu i wyrabiać tak długo, aż zacznie od rąk odstawać. Dać poraz drugi podrosnąć w dobrem cieple. Robić podłużne bochenki, układać na blasze, podsypanej mąką. Gdy podrosną, posmarować wodą z odrobiną rozpuszczonego w niej karmelu, posypać makiem lub siekanymi migdałami i wstawić w piec na pół godziny.

BABKI ŚMIETANKOWE.

Pół kilo tłustego, nie starego masła utrzeć na śmietane, dodać dwa jaja całe, dwadzieścia deka cukru-pudru i około trzech ćwierci kilo suchej, przesianej mąki; wyrobić prędko na kruche ciasto. Wyrabiać tylko tyle, aby się nie bardzo rozsypywało; gdyby się nie łączyło, można dodać parę łyżek zimnej wody. Wyłożyć tem ciastem dno i boki foremek blaszanych, wciskając mocno między ząbki. Trzecią część ciasta pozostawić na

pokrycie. Trzy żółtka utrzeć do białości z filiżanką cukru, dodać całowy kawałek wanilii, utłuczonej z cukrem, filiżankę śmietanki, zaciągnąć na ogniu do zgęstnienia, nie dając się jednak zagotować, bo się zwarzy. Ostudzić. Nakładać po łyżce do foremek. Resztę ciasta rozwałkować, pokryć niem foremki i wynieść na godzinę na chłód. Upiec w niezbyt gorącym piecu do dobrze zrumienienia. Jeszcze dobrze gorące wyjmować z foremek. Podaje się je na zimno.

SOLANKI.

Dwadzieścia deka mąki przesianej i dziesięć deka tłustego masła siekać na stolnicy tasakiem, dodając jedno żółtko i trzy łyżki zimnej wody. Wsypać łyżeczkę od kawy soli i siekać tak długo, aż się uformuje gładkie ciasto, przy czem nie należy ciasta dotykać rękami, a tylko tasakiem. Wynieść na chłód, aby ciasto stwardniało. Rozwałkować jak można najcieniej. Pokrajać w pasy, na dwa palce szerokie, te pasy na dziesięciocentymetrowe kawałki. Posmarować pozostałym białkiem. Posypać solą z kminkiem i prędko upiec w dobrze gorącym piecu. Zamiast soli z kminkiem, można posypać te ciastka ostrym, tartym serem.

KUGIEL Z GRUSZEK.

Dwadzieścia pięć deka mąki i dwadzieścia pięć deka cielecego łożu siekać na stolnicy tasakiem, dodając, potrochu, pół szklanki wody, dodać dwadzieścia pięć deka cukru-kryształu i małą łyżeczkę soli. Przełożyć ciasto do miski i wyrabiać dokładnie, dodając po jednym naraz osiem jaj. Kilo gruszek obrać z łupinek, pokrajać na ćwiartki, zmieszać z ciastem. Formę glinianą, ogniotrwałą, wysmarować topionym łożem cielecym lub gęsim szmalcem. Ułożyć w niej ciasto. Wstawić w bardzo gorący piec, aby się kugiel mocno zrumienił. Następnie ogień zmniejszyć, formę przykryć i piec wolniutko dwie godziny. Kugiel wyrzucić z formy i włożyć napowrót spodem do góry, formę znów nakryć pokrywą i trzymać w ciepłym piecu jeszcze dwie godziny. Podawać gorący.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Różnego rodzaju wyroby gumowe, jak worki do lodu, poduszki nadymane do siedzenia, piłki, płaszcze gumowe, etc., przy zbyt niemiłym wyschnięciu łatwo się kruszą i twardnieją. Nie powinno się ich przechowywać w zbyt ciepłych i suchych, ale w chłodnych, wilgotnawych miejscach. Jeżeli mimo to stwardnieją, przywracamy im elastyczność zapomocą roztworu amonjaku, w którym je zanurzamy, albo nacieramy nim tak długo, dopóki nie zmiękną; następnie trzymamy je kilka minut nad parą wodną, a po wytarciu miękkim gałgankiem będą, jak nowe.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.
Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Kobiety muszą stanąć do pracy.

Cóż więc jest rzecz publiczna?

Ciągle, uporczywie, oddawna myślę o tem, że my kobiety powinnyśmy najgłębiej przejąć się obowiązkami obywatelskimi.

Powinnyśmy, raz dlatego, że mamy pod tym względem odwieczną, chlubną tradycję, że polki zawsze były przedewszystkiem obywatelkami, patrijotycznymi córami ojczyzny. I wtedy nawet, gdy nie miały w niej praw pisanych, mocą czynu nakładały sobie obowiązki.

O ileż te obowiązki silniejsze, ważniejsze są dziś, gdy, na równi z mężczyznami stanowić możemy o wszystkim, co dzieje się w Rzeczypospolitej.

To jedna racja, drugą, najwyższą, jest potrzeba ogólna, tylko łączną pracą obywateli i obywateli stać może silnie ugruntowana, wolna Polska, tylko ta łączna praca wytworzy i rozwinie w kraju kulturę i dobrobyt.

A tymczasem, ze smutkiem stwierdzić muszę, że mało widzę wśród kobiet zainteresowania tą rzeczą publiczną.

W „Mównicy“, która jest odzwierciedleniem tego, co myślimy, co nas zajmuje i absorbuje, niema dotychczas ani jednego kobiecego głosu w sprawach aktualnych, ważnych, w sprawach publicznych, całą Polskę a więc i kobiety najwięcej obchodzących.

Z chwilą ogłoszenia wyborów, przyznaję, myślałam, że przedewszystkiem tu, na łamach „Naszej Mównicy“ ujrzę głosy kobiet, zapytania, rozstrząsania, dyskusje. Przecież mamy zdecydować o składzie nowego Sejmu, my obywatelki pełnoprawne, których jest liczba *większość*. Kobiety stanowią ogólnie więcej, niż 50 procent ludności. Czyż przed tak ważną akcją nie należy zastanowić się nad tem, co czynić należy? Powie mi ktoś, że od tego jest prasa codzienna, polityczna, tam znaleźć można orjentację i wypowiedzieć swe myśli.

A ja odpowiem, że właśnie prasa jest polityczna, a więc dla polityków. Czytać ją należy, ale my tam pisać nie będziemy, nie wypowiemy swego zdania, nie rozstrzygniemy wątpliwości, uczynić to winnyśmy tu, w naszym, kobiecym piśmie, które daje *wszystkim* czytelniczkom możność zabrania głosu. I dlatego myślałam, że głosów tych będzie wiele. Ponieważ niema ich, więc muszę prosić o wysłuchanie mego skromnego zdania.

Polska przechodzi obecnie ciężkie chwile. O, nie myślcie Panie, że należą do zawodowych strachajłów i krytyków, co to: „w Polsce zawsze źle się dzieje“, albo, masło zdrożało, to „rząd winien“. Nie. Widzę jasno, że w czasie pierwszego dziesięciolecia naszego wolnego bytu, w czasie, który dziejowo jest chwilą, zrobiliśmy bardzo wiele. Stworzyliśmy administrację, oświatę, armję, dyplomację, wyrobiliśmy sobie poszanowanie w Europie. To nie jest mało. Drobne usterki wewnętrzne są nieodłączne od każdego początków i nie są tragedją. Ale inne czynniki wpływają na to, że położenie jest trudne. Cały świat przechodzi kryzys gospodarczy, przechodzi go i Polska, nieugruntowana jeszcze gospodarczo, nie rozporządzająca gromadzone mi od lat kapitałami, nieuprzemysłowiona, jak inne kraje, odczuwać go musi dotkliwiej. Dalej, Polska ma specjalne warunki geograficzne i specjalnych sąsia-

dów. Czy jakiegokolwiek inne państwo europejskie jest zagrożone z jednej strony przez wojowniczych, marzących o odwecie, o zabranii dostępu do morza Niemców, z drugiej przez bolszewików? Mówi się o agitacji komunistycznej w Anglii, we Francji. Czy graniczą one z Sowietami i czy mają jedną dziesiątą tego niebezpieczeństwa?

A sprawy mniejszości narodowych, obecna wywrotowa akcja w Małopolsce, który z krajów europejskich ma coś podobnego?

Położenie to nie jest niczyją poszczególną winą i nie powinno być powodem do rozpacz, ale trzeba je widzieć i pracować łącznie, cały naród, ramię przy ramieniu nad jego poprawą.

Oszczędnością, wyteżonym wyścigiem pracy wyrównywać niedobory ekonomiczne, wynajdywać nowe źródła przemysłu, rozwoju bogactw krajowych.

Silą jednolitości, harmonji całego narodu, mądrą polityką i gotową armją trzymać w respekcie sąsiadów.

Wyteżoną akcją kultury, powagą silnego rządu, łagodzeniem antagonizmów wpoić w mniejszości przekonanie, że interesem ich jest nie wywrotowy separatyzm, lecz spokojna współpraca w ramach naszej państwowości.

Wszystko to zadania wielkie i pilne. Do ich spełnienia potrzebne jest działanie wszystkich obywateli. Potrzebny jest Sejm jednolity, mądry, współpracujący z rządem.

A tymczasem?

Zamiast ustaw, praw i reform, mamy abrakadabrę liter — nazw partyjnych, zamiast zgodnej, wyteżonej pracy, kłótnie, krwawe demonstracje i zamachy.

Różnice partyj są wszędzie? Zapewne, ale to różnice *taktyki*, nawet programów, ale nigdy nie podrywanie autorytetu państwa w kraju i nazewnątrz.

Przed czterema laty, po przewrocie majowym, Marszałek Piłsudski mógł wziąć władzę prawie że absolutną, dyktatorską. Nie uczynił tego. Chciał, aby naród żył i rozwijał się w ramach wolności i konstytucji, ufał, że naród potrafi.

Tej taktyki trzyma się stale rząd polski. Pomiędzy bezwzględnych kadencyj parlamentarnych, rozpisuje się nowe wybory, naród ciągle powoływany jest do wytworzenia zdrowego przedstawicielstwa.

Niechże je więc wytworzy nareszcie. Ludzie mogą się różnić przekonaniowo, ale niech pracują, jak kulturalni obywatele dla dobra kraju. Nas, szeroki ogół, nie obchodzą różnice partyjne. Nam trzeba szkół, warsztatów, fabryk, higieny, kultury, obrony przeciwgazowej, normalnego, nie hamowanego targami politycznymi budżetu. Nam trzeba jednolitości na zewnątrz, bo musimy przeciwstawić ją Niemcom i bolszewikom.

Może mnie posądzicie o feminizm, ale, powiem szczerze: do uzdrowienia stosunków w Polsce muszą stanąć kobiety.

One nie są jeszcze tak rozpolitykowane i tak znarowione partyjnie, one mogą patrzeć spokojnie, bezstronnie, bez uprzedzeń. Niechże zechcą.

Kiedy wódz narodu podpisywał akt, nadający polkom prawa obywatelskie, zaznaczył, że czyni to z ufnością, gdyż polki były oddawna obywatelkami. Trzeba więc stwierdzić to czynem. Trzeba łagodźci nienawiści i walki, trzeba wybrać do Sejmu ludzi,

których hasłem jest nie partja, lecz dobro państwa, trzeba wprowadzić do tego Sejmu nie śmieszną liczbę czterech czy pięciu posłanek, ale tyle, ile ich się należy proporcjonalnie do liczby głosów kobiecych. I trzeba uświadomić sobie, że to, czy inne stronnictwo, to jest tylko *technika* pracy publicznej, celem jest rzecz publiczna — dobro i potęga Polski. *Ziemianka.*

Lekceważenie książki (w odpowiedzi p. N. Jastrzębskiej).

W artykule swym: „Jak czytamy“ poruszyła autorka drażliwą sprawę czytelnictwa kobiet. Kwestja ta interesuje mnie bardzo i postanowiłam dorzucić jeszcze garść swoich wrażeń i obserwacji.

Przyznaję i stwierdzam ze wstydem, że kobiety nietylko źle czytają, ale wogóle nie czytają! Nie wiem, czemu przypisać brak zainteresowania w tym kierunku i nie zastanawiam się chwilowo nad głębszemi przyczynami takiego stanu rzeczy. Stwierdzam jedynie fakty.

Otóż lwia część kobiet „czytających“ interesuje się beletrystyką i goni tylko za treścią, nie zdając sobie sprawy z idei przewodniej, czy myśli autora, nie zwracając uwagi na formę, styl, czy budowę powieści, byle tylko połapać się w treści i jako tako powiązać ją ze sobą. To wystarczy!

Nic więc dziwnego, że panie proszą bibliotekarkę o „gruby tom“. Oczywiście, że czytanie takie nie przynosi żadnego pożytku, już po miesiącu bowiem czytelniczka nie pamięta nietylko tytułu, autora, ale nawet treści, która interesowała ją w chwili czytania. Z pamięci ulotni się wszystko, zostawiając błędny miraż poszczególnych obrazów, czy scen.

O książkach naukowych nawet się nie mówi. Są kobiety, nie mające pracy zawodowej, a więc nie potrzebujące wykształcenia w pewnym oznaczonym kierunku i dla tych książka naukowa, poważna, jest z reguły nudna, czy nawet denerwująca. A jednak wiele znalazłoby się ciekawych rzeczy w książkach z dziedziny pedagogiki, czy pedologii, dla matek, których tak wiele jest nieprzygotowanych do swych ważnych obowiązków.

Są dzieła przyrodnicze, tak pięknie, ciekawie i tak przystępnie napisane, że pociągnąć mogą wszystkich. Zagadnienia filozoficzne, moralne, społeczne, historyczne i t. d., trudno nawet wymieniać rodzaje, dość, że wszystkie działy ludzkich zainteresowań można znaleźć obficie w literaturze. Tymczasem, jakże mało jest tych, któreby sięgały głębiej, niż po za zwykłą beletrystykę, której miarą jest „grubość“.

Gazet z zasady się nie czyta, tłumacząc, że „polityką się nie zajmuję“, jakby gazeta poruszała tylko zagadnienia polityczne. Pisma kobiece ocenia się na zasadzie ilości wzorków do robót, lub mód.

Kupowanie książek przez kobiety, to dziedzina marzeń! Znam zaledwie kilka takich unikatów, reszta, jak zaznaczyłam już, nie interesuje się tą kwestją.

Może znalazłoby się więcej amateerek kupowania, gdyby warunki materialne pozwalały na taki wydatek. Jednakże znam małżeństwo, które znajduje się w sytuacji finansowej bardzo dobrej: bezdzietni, stać ich na kupno samochodu, ale w całym, dobrze umeblowanym mieszkaniu niema ani jednej książki! Mała, skromna szafa biblioteczna zajęta jest fatalaszkami pani domu. Albo bywa i tak: mieszkanie cudownie urządzone, meble stylowe, dywany perskie, kryształ, a dla ozdoby, zamiast książek, na stoliku ułożone „Erotikony“!

A teraz sprawa prywatnego pożyczania książek. Jeśli kogoś nie stać na kupowanie książek, niech wypożycza w czytelni, która w tym celu istnieje, a prywatne pożyczanie od znajomych, to wielki skan-

dal. Może wyraziłam się za silnie, ale, niestety, słusznie. Nie umiemy czytać, a stąd i szanować książek.

Posiadam własną bibliotekę, mój mąż i ja cieszymy się każdym nowo nabytym tomem, bo naprawdę, ciężko bardzo z naszych skromnych dochodów odłożyć parę złotych na kupno i skompletowanie biblioteki. I cóż się dzieje? Oto często trzeba rezygnować z innych przyjemności poto, żeby kupić książkę i więcej jej nie oglądać (pożyczona!), albo też zobaczyć ją jeszcze na własnych półkach, ale w smętnym stanie, jakby przeszła przez setkę brudnych rąk, obdartą, zaplamioną z wydartemi kartami!

Nie twierdzą, żeby kto chciał książki pożyczane przywłaszczyć sobie na stałe, jednak tak się lekceważy książkę wogóle, że nie oddaje się jej w porę, a potem, jakoś nawet niechcący, zapomina się, do kogo właściwie należała. Czasem trzeba po raz trzeci kupować tę samą książkę, ponieważ zginęła w czytaniu.

Gdyby książki pożyczali ludzie mało inteligentni i biedni, powiedziałabym: trudno! ale przeważnie pożyczają osoby zamożne, więc niechże kupują, albo abonują w czytelni.

Książki w Polsce są drogie i będą drogie, dopóki nie zrozumiemy i nie uświadomimy sobie, że książka, to nietylko nauczyciel, ale i najlepszy przyjaciel człowieka w każdej okoliczności życia.

J. Ł. — Król. Huta

Krzyk o punktualność.

Tak, powinnyśmy my, kobiety podnieść wielki krzyk o punktualność. Ileż to czasu tracimy na marne, ileż nerwów i irytacji kosztuje nas często ten brak zmysłu punktualności u naszych bliźnich!

Ale, w myśl przysłowia: „w cudzem oku widzisz źdźbło...“, należy tę reformę punktualności rozpocząć od siebie.

Spóźniamy się stale, wszędzie: w pracy zawodowej, w interesie, w pracy społecznej, nawet w zabawie. Ileż to razy naznaczone zebranie rozpoczyna się z godzinnem opóźnieniem! Każdy liczy na to, że inni się spóźnią i nie chce sam czekać. Ileż to razy bal, czy wieczorek w ciągu pierwszych dwu, a nawet trzech godzin uważa się za nieudany, z powodu minimalnej ilości przybyłych osób!

Spóźniają się panie, spóźniają się i panowie. Niepunktualność nie jest bynajmniej tylko naszą „babską“ wadą. I jakże trudno ją wyplenić!

Pamiętam, „Reduta“ Osterwy wzięła sobie za punkt honoru nauczyć grodnian punktualności. Nie wpuszczano na salę po podniesieniu kurtyny. Myśleli niektórzy, że i to było przyczyną zmniejszania się frekwencji publiczności. Przyszedł czas, że „Reduta“ nie wytrzymała, skończyła się w Grodnie, a bujny kwiat niepunktualności, jak kwitł, tak kwitnie dołąd wszzechwładnie.

Pani Wanda R. z Poniewieża daje dobrą radę: zdobyć umiejętność dokładnego obliczenia czasu, potrzebnego do wykonania pewnej pracy. Ja dodałabym jeszcze jedno: ułożenie sobie każdego wieczoru planu pracy na dzień następny. Zasadniczo dzień pracy kobiety nowoczesnej winien być podzielony na cztery działy: pracę zawodową, gospodarczo-domową, społeczną i pracę indywidualną nad sobą samą (czytanie, przemyślanie i t. d.). Niestety, w programie dnia kobiety najczęściej na to ostatnie nie staje już czasu. Sądzę jednak, że umiejętne rozliczenie czasu, oraz rozplanowanie, a więc systematyczność i pewna organizacja pracy, dopomogłyby znakomicie do wyeliminowania z naszego życia tego, pożerającego tak bezprodukcyjnie czas, potwora niepunktualności.

J. K. — Grodno

Czas krótki, prace wyborcze w pełnym biegu, maluczko, a dowiemy się o składzie ciała ustawodawczego; czy jednak Panie zastanawiają się nad tem, czy i ile posłanek stanie tam w Sejmie i Senacie do walki o prawa kobiet? Sądzę, że należałoby się tą kwestją zainteresować.

Ze tam w stolicy i w kilku większych miastach kobiety pracują w tym kierunku, o tem nie wątpię; ale prowincja, wieś? Wskazane byłoby pouczyć rzeszę kobiet inteligentnych, które nie należą do żadnych związków czy stowarzyszeń, a które mają i ochotę, i czas, i należyte przygotowanie umysłowe do tego rodzaju pracy społecznej. Jest to obecnie najlepsza sposobność z okazji wyborów, powiększyć garstkę bojowniczek o prawa kobiet, a materiał to będzie świeży, nie utrudzony i nie zniechęcony bezowocnymi czasem wysiłkami.

B. W.

Czy kobiety powinny się interesować polityką.

Od pewnego czasu Redakcja „Bluszczu“ wprowadziła w dziale kronikarskim nową rubryczkę: „Z ubiegłego tygodnia“, przegląd najważniejszych wydarzeń politycznych w Polsce i zagranicą.

Jest to inowacja, godna pochwały.

Kobiety polskie naogół nie lubią polityki i nie interesują się nią prawie wcale. Częstokroć podkreślają nawet specjalnie swoje désintéressement w tym kierunku.

Uważam, że ignorancja ta była zrozumiała u naszych prababek, dla których całym światem był mąż i dom, poza który przeważnie nie wybiegały myśla, ani zainteresowaniami. Przeważnie, bo jednak zawsze „zdarzały się“ kobiety o szerokich zakresach myśli i upodobań; były to jednakże tylko nieliczne wyjątki.

Fakt całkowitej abstynencji politycznej jest zrozumiały u kobiet-lalek, ale u kobiety-obywatelki, posiadającej równouprawnienie i rozumiejącej wynikię stad obowiązkami, jest nie do pomyślenia.

Kobieta jest obywatelką swego państwa, narówni z mężczyzną, narówni z nim posiada prawo wyborcze, a więc ma głos decydujący na bieg spraw państwowych, na ustrój państwa.

A czyż może decydować o sprawach takiej wagi jednostka, nie orjentująca się zupełnie i nie interesująca polityką wewnętrzną i zewnętrzną swego państwa, jego stosunkiem do państw obcych i, vice versa, nie wiedząca nic o tem, co się dzieje w kraju i zagranicą?

Kobieta, pragnąca spełnić dobrze swe obywatelskie obowiązki, winna być stale au courant tego, co się dokoła niej dzieje, orjentować się w kursie polityki, jak i w zagadnieniach ekonomicznych i społecznych.

Chodzi tu o własną orjentację, by nie być wciąż bierną, nieświadomą życia masą, oddaną bezwolnie na łup wszelkiej demagogji partyjnej, wszelkim agitatorom, umiejącym tak łatwo porywać wielkimi hasłami zapalną, uczuciową naturę kobiecą, nieregulowaną wskazaniem zdrowej, konsekwentnej myśli, wynikłej z uświadomienia i zorjentowania politycznego.

Obowiązkiem naszym jest nie być ślepem narzędziem dla uprawiania „wielkiej polityki“ partyjnej, lecz zwartą, mocną wolą pełnowartościowego, świadomego swych praw i zobowiązań obywatela, którego celem jest tylko jedno; *Rzeczpospolita Polska.*

Jadwiga Korulska.

Poruszamy w „Mównicy“ różne sprawy, dotyczące ulepszeń w naszym życiu społecznym, pragnę więc pomówić tu o jednej, która, choć może drobna pozornie, uważam, że na omówienie zasługuje.

Nie wiem, czy dużo koleżanek akademiczek czytuje „Bluszcza“, mam wrażenie, że tak, boć to pismo dla każdej inteligentnej kobiety niezbędne, może więc przeczytają i mój głos i wywrze on jakiś skutek.

Jako studentka, chodzę często do Biblioteki Publicznej i oto co zauważyłam: w oddziale katalogów widnieją na półkach wyraźne napisy: „Po przejrzaniu, położyć katalog na właściwym miejscu“. Nie macie panie pojęcia co się tam dzieje, jak nikt się do tego przepisu nie stosuje.

Biblioteka jest teraz „skatalogowana“ doskonale, jasno, przejrzyste ułożone na półkach maleńkie książeczki katalogowe, numery, litery wyraźne, drobniawo ułożone najściślejsze wskazówki, po ciemku można trafić. Pod półkami rodzaj długiego pulpitu, krzesła, można usiąść, spokojnie przejrzeć katalog, wynotować numery. To wszystko na przestrzeni wyzyskanej najbardziej celowo, z wykorzystaniem każdego metra kwadratowego, w myśl najidealniejszej organizacji pracy.

Tylko, jeden warunek: żeby ludzie chcieli zrozumieć, co robią. Żeby zadali sobie niebotyczny trud wyciągnięcia ręki i położenia katalogu, po jego przejrzaniu, na właściwym miejscu.

Akurat!

Pulpit, jak długi i szeroki, zarzucony walającymi się katalogami, jakby trzęsienie ziemi wyrzuciło je z półek. Te zaś, które leżą na półkach, pomieszczone i poprzestawiane. W tak wielkiej bibliotece na każdą literę jest kilkanaście książeczek. Szukam w katalogach litery R. Oto R2 stoi koło K15, trochę dalej wyskakuje K5, a reszta? Leży gdzieś w beładnej kupie na pulpicie! Zaczynam obserwować: pięć osób w moich oczach, w ciągu dziesięciu minut przegląda katalogi, *ani jedna* nie kładzie ich na swoim miejscu!

Jak sobie zarząd Biblioteki daje z tem radę, kto to porządkuje? Nie mam czasu zagłębiać się w tę sprawę. Wiem jednak, że nie jest ona łatwa, bo na te setki, które tu cały dzień przychodzą i rozrzucają, trzeba chyba specjalnej osoby, zatrudnionej od rana do wieczora układaniem, a fundusze Biblioteki wiem, że są ograniczone i napewno niema ich na tego rodzaju obsługę.

A zresztą, choćby i były, czyż to nie skandal? Ludzie dorośli, elita inteligencji, nie potrafią położyć książki na półce!

Dziwię się tylko, że zarząd Biblioteki nie zabiera się energicznie do tych niedbaluchów i nie nakłada na nich kar.

Dzieje się tak pewno dlatego, że, chcąc wiedzieć, kto jest sprawcą nieporządku i kogo można pociągnąć do odpowiedzialności, trzeba by postawić dozorcę przy katalogach!

Mojem zdaniem wszyscy przychodzący powinni pilnować wzajemnie sami siebie, każdy, widząc, że drugi robi nieład, powinien mu w grzeczny sposób zrobić uwagę, no i naturalnie przedewszystkiem sam tego nieładu nie robić. Przecież chodzi tu o wspólną wygodę, osiągniętą tak małym wysiłkiem. Czyż naprawdę będziemy czekać, aż postawią nam pilnującego nas woźnego?

Kobiety, jako z natury swej zamilowane w porządku, kobiety, których zadaniem jest wychowywać, wpajając poszanowanie wszelkich rozumnych przepisów, powinny zabrać się do tej sprawy. A kobiet bywa w Bibliotece Publicznej bardzo dużo.

Ł. K. — Warszawa